Nr. 36. Warszawa, dnia 22 Sierpnia (3 Września) 1898 r. Rok XVIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Prenumerata „Prawdy"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem):
W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rs. 2, rocznie rs. 8, z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. 2 kop. 50, rocznie rs. 10.

Adres: Nowogrodzka Nr. 39.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych, od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya Prawdy oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. 20 w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. 10 za wiersz lub jego miejsce.

TREŚĆ: POLITYKA: Zapowiedź nowej epoki. — Bismarck, V. — Tydzień polityczny. — ODCINEK: Janina Baudouin de Courtenay: Ismael (c. d.). — ŻYCIE SPOŁECZNE: Dla ludu. — Listy petersburskie, p. Pawła Krzyżanowskiego. — Z Niemiec, p. H. F. — FEJLETON: Pamiętnik. — LITERATURA I SZTUKA: Listy z Paryża, p. W. Bugla. — Przegląd teatralny, p. Andrzeja Niemojewskiego. — Notatki literackie i artystyczne. — POEZYE: Z cyklu „Pastele," p. Maryana Tatarkiewicza. — W dali. — Kronika. — Ogłoszenia.

POLITYKA.

ZAPOWIEDŹ NOWEJ EPOKI.

Prawit. Wiestnik ogłosił następujący dokument:

„Na mocy Najwyższego rozkazu Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszego Pana, minister spraw Zewnętrznych doręczył w d. 24 sierpnia r. b. wszystkim przebywającym w Petersburgu przedstawicielom zagranicznym komunikat poniższego brzmienia:

Zachowanie powszechnego pokoju i możliwe zmniejszenie ciążących na naszych narodach nadmiernych uzbrojeń, jest w dzisiejszym stanie rzeczy celem, do którego zdążać by powinny usiłowania wszystkich rządów. Pogląd ten odpowiada w zupełności humanitarnym i wspaniałomyślnym zamiarom Jego Cesarskiej Mości, mego Najjaśniejszego Pana. W przekonaniu, że tak wzniosły cel odpowiada też istotnym potrzebom i słusznym życzeniom wszystkich mocarstw, rząd Cesarski sądzi, że chwila obecna nadaje się bardzo do wyszukania na drodze międzynarodowych obrad najskuteczniejszych sposobów zapewnienia wszystkim ludom prawdziwego i trwałego pokoju, a przedewszystkiem położenia kresu zwiększającemu się coraz bardziej rozwojowi współczesnych uzbrojeń. W ciągu ostatnich 20 lat pokojowe dążności rozwinęły się silnie w poczuciu ludów oświeconych. Zachowanie pokoju stało się celem polityki międzynarodowej, w imię pokoju wielkie mocarstwa związały się w potężne przymierza, celem lepszego zabezpieczenia go zwiększyły one do niebywałych dotąd rozmiarów swoje siły wojenne i zwiększają je dotąd, nie cofając się przed żadnemi ofiarami. Usiłowania te nie mogły jednak doprowadzić dotąd do pomyślnych rezultatów pożądanego uspokojenia. Wzrastające ciągle brzemię ciężarów finansowych podkopuje podstawę dobrobytu społecznego, umysłowe i fizyczne siły narodów, praca i kapitał są oderwane w większej części od właściwego przeznaczenia i marnują się nieprodukcyjnie; setki milionów wydaje się na przygotowanie strasznych środków zniszczenia, które dziś są ostatnim wyrazem nauki, a jutro utracić muszą wszelką wartość skutkiem nowych wynalazków. Oświata ludu, jego dobrobyt i bogactwa ulegają zatamowaniu lub schodzą na manowce.

W ten sposób w miarę wzrostu uzbrojeń każdego z państw, coraz mniej odpowiadają one wytkniętym przez rządy zamiarom. Naruszenie ustroju ekonomicznego, wywołane w wielkim stopniu przez nadzwyczajne uzbrojenia, wieczna obawa, która objawia się w olbrzymiem nagromadzeniu wojennych środków, zamieniają zbrojny spokój doby obecnej na przygniatające brzemię, które narody znoszą z coraz większym mozołem. Jasną wobec tego jest rzeczą, że gdyby stan podobny przedłużał się, doprowadziłby niechybnie do tej właśnie klęski, której stara się uniknąć i przed którą grozą wzdryga się już teraz myśl ludzka. Położyć kres nieustającym uzbrojeniom, znaleźć środki, żeby zapobiedz nieszczęściu zagrażającemu światu całemu, oto dziś najwyższy obowiązek wszystkich państw.

Przejęty tem uczuciem Najjaśniejszy Pan raczył mi rozkazać, ażebym zwrócił się do rządów wszystkich mocarstw, których przedstawiciele są uwierzytelnieni przy Najwyższym Dworze, z propozycyą zwołania konferencyi, w celu rozważenia ważnego tego zadania. Przy Bożej pomocy konferencya ta mogłaby być dobrą wróżbą dla zbliżającego się stulecia. Złączyłaby ona w jedną potężną całość usiłowania wszystkich państw, dążących szczerze do tego, ażeby wielka idea pokoju powszechnego odniosła tryumf nad dziedziną niepokoju i rozterki; równocześnie wzmocniłaby ona ich zgodę drogą uznania wspólnego podstaw prawa i sprawiedliwości, na których opiera się bezpieczeństwo państw i pomyślność narodów."

Dokument ten ma znaczenie ważnego wypadku politycznego. Przeleciał on nad Europą jak błyskawica, której nie poprzedziła żadna gromowa chmura. Ta mocna krytyka i te dosadne wyrażenia, które potępiając militaryzm, stawiają go przed sądem ludzkiej niedoli, odzywały się dotychczas tylko w pismach marzycieli, humanistów, apostołów „wiecznego pokoju," ale nie zamieszały się nigdy do tonu głosów urzędowych. Nagle zabrzmiały one z całą siłą, bez zwykłego tłumika dyplomatycznego w głosie rządu, władającego najpotężniejszem i najzbrojniejszem państwem świata. Czyż głos ten mógł nie wywołać przedewszystkiem nadzwyczajnego zdumienia?

W co on uderza, o jakim potworze mówi — objaśniać nie trzeba. Militaryzm bowiem od trzydziestu blizko lat przegryza najgłębsze tkanki organizmu narodów europejskich, rozpuścił on swoje polipie ramiona we wszystkich warstwach społecznych, tkwi swoją goryczą i trucizną w każdym kawałku chleba, który spożywa nędzarz, gniecie mózgi, rozdziera serca, zabiera pracy krwawo zdobyte owoce, zasępia każdy dzień życia i gasi promienie nadziei jutra. Jęk, płacz, skarga, rozpacz — to jest jego muzyka. Europa, która musi dla ochrony „pokoju" trzymać stale pod bronią (według obliczeń Hickmana z. r. 1897) *cztery miliony* młodych, zdrowych ludzi i wydawać na nich przeszło *miliard rubli* rocznie, a nadto mieć w zapasie na wypadek wojny gotowych do boju przeszło *trzynaście milionów* żołnierzy i potrzebne dla nich środki, nie licząc wydatków na armaty, okręty, ciągle zmieniane karabiny itd. — Europa wie, co to jest militaryzm, chociaż żadna rachuba nie jest zdolna ująć nawet w przybliżone cyfry tych szkód, jakie on jej wyrządził od lat trzydziestu. To też z wyjątkiem jednostek, które nim wypasały swój interes lub syciły ambicyę, nie było duszy ludzkiej, któraby z tęsknotą nie wyczekiwała chwili, kiedy ta olbrzymia piramida z ciał człowieczych i zwierzęcych, armat, karabinów, pieniędzy i krwi zwali się pod jakiemś potężnem uderzeniem lub wstrząśnięciem.

Czy się zwali?

Sądzimy, że nikt nie jest w stanie przewidzieć, jakie ostateczne następstwa mieć

będzie odezwa rosyjska. Ponieważ bowiem podważa ona budynek, oparty na gruncie głębokich antogonizmów, odmiennych zatargów i odwiecznych procesów, więc niewątpliwie spotka się z wielostronnym oporem. Natomiast przewidzieć łatwo jej skutek najbliższy: rzuci ona w niektóre państwa popłoch, wywoła w nich zamęt, ośmieli do energiczniejszych ataków żywioły walczące z militaryzmem i wszystkiemi jego podporami. Nie należy bowiem zapominać, że przez długoletnie trwanie wytworzył on pewne instytucye, charaktery i zasady życia, które instynkt samozachowawczy popchnie do obrony, że zatamowane przez niego prądy i dążenia pod wpływem nowej pobudki wzrosną w natężeniu. W Niemczech, których organizacya przesiąkła tradycyami militaryzmu, których kierownictwo widzi w nich główną podstawę ich znaczenia i potęgi, które są podminowane nurtami protestu i które właśnie miały pomnożyć swoje zastępy bojowe—to niespodziewane zwiastowanie zamiaru rozbrojenia musiało sprawić piorunujące wrażenie. Wnosząc z głosów prasy, należałoby przypuszczać, że niemniej silne było ono we Francyi, która od lat 28 żyje myślą i nadzieją odwetu i która rozbrojeniem zatwierdziłaby ostatecznie pokój frankfurcki. Anglia, zaskoczona niespodzianką w chwili, kiedy gotowała się do podniesienia swej potęgi morskiej, przyjęła projekt rosyjski z niezadowolonem uznaniem. Natomiast we Włoszech, Austryi i państwach drobnych powitano go z zapałem.

Stoimy tedy wobec zagadki bardzo trudnej i bardzo ciekawej. Czy ją rozwiąże i to rozwiązanie zapisze na świeżym nagrobku twórcy militaryzmu, Bismarcka, wiek obecny, czy dopiero przyszły—nikt dziś powiedzieć nie zdoła. O ile ona bowiem jest prosta etycznie, o tyle niezmiernie powikłana praktycznie.

BISMARCK.

V.

Koleje i koniec tej wojny, wraz z jej najświetniejszem powodzeniem — wszystko gaśnie wobec jej początku i robót, które ją przygotowały. W tych robotach Bismarck jest już cały, jak był, w najwyższej swojej potędze. Nie pobicie Francyi, ale to złapanie Austryi i wyrzucenie na śmiecie, jest jego dziełem, z punktu widzenia techniki politycznej, uwzględniającej jedynie sposób wykonania danej roboty — mistrzowskiem. Najwymowniejszy dowód doskonałości przynosi telegram Napoleona III w dniu bitwy pod Königgrätz, wprowadzający kombinacyę ustąpienia Wenecyi jemu — Napoleonowi, i to domaganie się jego, cesarza Francuzów, przyjęto skwapliwie przez Bismarcka, aby ludność w Szlezwigu powołaną była do głosowania: z kim być i kogo mieć chce? Napoleon wpadł zwolna w samotrzask. Po zwycięztwach nad Austryą Bismarck odrzucił, rzecz prosta, żądanie sprostowania granic, nie uląkł się alternatywy: Moguncya lub wojna!—przyjął wojnę, wiedząc, że jej nieprzyjaciel nie wypowie, a ten brulion ręką posła francuskiego Benedettego w słowach przez Bismarcka dyktowanych spisany—w *Timesie* z r. 1871 w *fac-simile* ogłoszony— wyczerpuje już wszystko, na co nieołęztwo zdobyć się mogło. Belgia dla Francyi! W co żaden człowiek rozsądkiem tylko obdarzony nigdy uwierzyćby nie mógł, tem się zabawiał — piastun idei Napoleońskich, z równą powagą, z jaką dziecko zabawia się szkiełkami. I jak tu z takim przeciwnikiem się nie zmierzyć? Sprostowanie granic? Dobrze, tylko nie kosztem Moguncyi, ale Metzu i Strassburga.

Pobicie Austryi, za pozwoleniem Napoleona kupionego szkiełkami, musiało się psychologicznie nawet dopełnić pobiciem Francyi. Sam rozpęd ku jedności niemieckiej, zorganizowany w związek północny, ujęty w przymierza z pobitemi w r. 1866 państewkami południowemi, mógł przynieść wojnę nawet bez Bismarcka, gdyby tylko myśl, która nie była jego myślą, znalazła, choćby z wielu sił zorganizowaną, energię jego indywidualnej dorównywającą. Ustąpienie przed Francyą w r. 1867 w drobnej całkiem sprawie luksemburskiej było tylko czynem roztropności, pokrytym zresztą powagą zobowiązań względem całej Europy, a nie względem Francyi, zaciągniętych. Znając dobrze dwór tuileryjski, Bismarck czekał tylko na sposobność. Hiszpanie po rewolucyi wrześniowej 1868 r. potrzebowali króla: upatrzyli sobie Hohenzollerna. Napoleonowi wydało się to niebezpiecznem, jeśli nie dla Francyi teraźniejszej i przyszłej, to przynajmniej dla jego, Napoleona III, teraźniejszego honoru. Posługując się wciąż tem lichem narzędziem, jakiem był Benedetti, władca Francuzów tak sprawę zaostrzył, że Wilhelm V musiał mu dać niegrzeczną odprawę. Wszystko, co Francuzi napisali o sfałszowaniu jakoby przez Bismarcka zajścia między królem a posłem, sprawić może tylko im samym przyjemność spóźnionego odwetu—uczuciami za wypadki: dla historyi jest bez znaczenia. Stroną wyzywającą w sprawie kandydatury hiszpańskiej, bezpośredniej przyczynie wojny, była Francya, nie Prusy — choć Prusy wojny tej od lat trzech pragnęły i do niej się przygotowywały.

I na tę wojnę również nie szedł Bismarck bez sprzymierzeńców, dopomagających choćby neutralnością. Austryi ruszyć się nie pozwalali jej Niemcy; Anglikom nie była klęska ostateczna, przewidywana po pierwszych, niepożądaną; Włosi dali wszystko, czem się odwdzięczyć umieli za r. 1859 i lata następne aż do Aspromonte: nie podnieśli się przeciwko Francyi, ale zachęceni przez Bismarcka, ośmieleni przez klęski francuskie, wbrew polityce Napoleona III dokonali swej jedności; Rosya, porozumiawszy się zawczasu, w październiku 1870 r. wypowiedziała traktat paryski na morzu Czarnem. Nie było rozpaczliwszej misyi nad posłannictwo starego Thiersa, objeżdżającego Europę, która nic prócz marnej litości dać mu nie chciała. Musiało przyjść do kapitulacyi Paryża, do preliminaryów wersalskich, do pochodu tryumfalnego przez Pola Elizejskie. Ze stanowiska francuskiego zupełnie zrozumiałym jest okrzyk Gambetty: *Il n'y a plus d'Europe*: rzeczywiście nie było już po traktacie frankfurckim tej dawnej Europy, w którejby, jeśli nie Francya przyjaciela, to Niemcy wroga czynnego znaleźć mogły. Ale nie miało też być już i Francyi dawnej. Zaczęła się nowa epoka dziejów; dzień 10 maja 1871 r. zakończył siedmioletnie narodziny nowej ery. Środek ciężkości wypadków przeniósł się z zachodu na północo-wschód.

Janina Baudouin de Courtenay.

ISMAEL

(Kontur psychologiczny).

VI.

Zawisłem w przestrzeni pomiędzy dwoma światami. Do jednego przyrosłem dzieciństwem i pierwszą młodością, sercem i pojęciami. Ku drugiemu ciemnemu i nieznanemu mi wcale a tyle, zdaje się, wrogiemu całej mej jasnej przeszłości — potężnie mię popychał wyrozumowany obowiązek i coraz wyraźniej występująca cześć krwi. Jako Żyd, stawałem się fanatykiem honoru i zaparcia się siebie.

Nie będzie żadnym przykładem, ani też żadną zasługą, jeśli wyposażony hojnie w pieniądz miłosiernego goja, przekupiony tem miłosierdziem jego, wystąpię do łatwej walki. Żydzi-kapitaliści, tak stosunkowo nieliczni, z wysokiej, bezpiecznej baszty swej złotej obojętnie się przypatrują dolnym zamętom. Antisemityzm, brzemienny w skutki dla ciemnej, nędznej rzeszy żydowskiej, jest dla nich tylko przykrem brzęczeniem komara. Abym mógł zgłębić warunki życia *mojego* narodu i ciężar ich wypróbować na sobie, muszę się stać Żydem ubogim i zarobkującym. Wprawdzie z łaski chrześcian miałem wykształcenie, a także ubłagany przez matkę moją najdroższą, wziąłem od niej grosz na drogę i pierwszy miesiąc samodzielnego życia — ale po za tem rozpoczynałem już żywot samodzielny. Więc też zamiast udać się za granicę, jak zamierzałem poprzednio, wyjechałem do jednego z tych miast, w których, jak mi było wiadomo, żyły tysiące braci moich, korzystających w całej pełni z wyjątkowych praw, ofiarowanych im przez państwo z jednej strony—i przez własną tradycyę z drugiej. Postanowiłem poznać bliżej tych smutnych bohaterów chwili, poznać sferę, do której należałem z urodzenia... i rzucić w nią nowy, odradzający posiew.

Zdecydowany i roznamiętniony — a jednak sam siebie niejasny, stanąłem na wstępie do nowego życia przed pytaniem, które wydało mi się z początku nieledwie formalnem tylko i powierzchownem, a które rosło i olbrzymiało we mnie z taką niespodzianą szybkością, że w końcu zasłoniło przede mną wszystkie dalsze i bliższe perspektywy. Czy mam pozostać i nadal chrześcianinem — czy też stać się wyznawcą prastarych ksiąg Jehowy — czcicielem groźnego Ojca, miłującego Izraela? Czy i pod tym względem mam się zlać z ludem moim? wszczepić się w jego organizm?... Ale uczułem zbyt wyraźnie, jak tajemnie a cicho ubóstwiałem i miłowałem Tego, który nowe prawdy przekazał, uczułem, że wyrzec się Go, zdradzić chociażby tylko pozornie, formalnie nie mógłbym za żadne skarby najwyższych idei i celów.

Dziecinna wiara moja przygasła i zemdlała pozornie podczas mych studyów uniwersyteckich, otrząsając się zwolna ze strojnej szaty obrządków. Lecz został mi nietknięty przepiękny posąg ideału, który się z niej wyłonił. Był czas przejściowy, gdym mu hołdował, jako marmurowemu bóstwu greckiemu — dla piękna etycznego. Ale ten posąg mój zaczynał nabierać coraz więcej życia z błahych na pozór powodów. Oto malarz oryginalnem i wzniosłem zrozumieniem typu boskiego Mistrza rozpalał ku Niemu moje serce, poeta strofami szczerze natchnionemi prowadził mię do Niego, wiodła mię ku Niemu błękitna noc gwiazdzista...

Wskrzeszenie cesarstwa niemieckiego w Wersalu było symbolem przyszłego przodownictwa politycznego. Do wytworzenia tej nowej Europy przyczynił się głównie Bismarck; ale nie można powiedzieć, żeby on ją wytworzył. Zbyt wiele czynników, nietylko rządowych, politycznych i dyplomatycznych, ale i cywilizacyjnych, umysłowych wpłynęło na to nowe ukształtowanie się świata, aby—jeden człowiek, nawet wyższy duchem od Bismarcka i w wyższą niż on zbrojny potęgę — mógł takiego wielkiego przewrotu dokonać.

I nie on też pierwszy wydał hasła „ogniem i żelazem," „krwią i żelazem" lub „siła przed prawem." Rozbrzmiewała niemi od wieków puszcza dziejów. Ale on pierwszy z większym, niż inni, cynizmem te hasła wkuwał w sumienia ludzkie; on pierwszy na tak wysokiem stanowisku wszelką litość, ludzkość i współczucie od egoizmu swego odpędziwszy, siłę rozbestwił, wstyd z czoła jej starł i w powodzeniu uczcił jedyne bóstwo świata. Ta cześć łączyła się zawsze z trwogą: jest bowiem siła na siłę, a powodzenie siły tylko słucha. Gdy w d. 6 lutego 1888 r. mówił w sejmie: „My Niemcy boimy się tylko Boga, i niczego więcej"—nie mówił prawdy: lękał się Rosyi i z tym lękiem zamierał. Wykryta w r. 1896 reasekuracya potrójnego przymierza aż nadto dobrze dowodzi tego narzucania się z przyjaźnią, które znamionuje całą jego politykę od początku do końca, z wyjątkiem lat wojny wschodniej i jakich dwu przed zawarciem owej reasekuracyi. Dla Niemiec to, co zrobił, było, na miarę zbiorowej wrażliwości, wielkiem: wolno też Niemcom wielkim go nazywać i za geniusza uważać. Ale tej wielkości, ani geniuszu nie przyzna mu nikt po za Niemcami. Wielkości polityczne mają swoją odrębną miarę w fakcie dokonanym, w powodzeniu. Ten sam Bismarck, z tym samym wysiłkiem działającego rozumu — nieszczęśliwy w przedsięwzięciach—jakżeby odrazu zmalał w oczach samych nawet Niemców! Do wielkości potrzeba idei i człowieczeństwa; Bismarck zaś miał tylko konkretne cele, a na człowieczeństwo patrzył zawsze z policyjnego tylko stanowiska. Te przymioty, których potrzeba do robót dyplomatycznych i politycznych miał, i to w oryginalnej formie podstępu, mówiącego prawdę; dzięki tym przymiotom Niemcy przebudował, a budując świat poruszył; ale jeśli nawet historyk nazwie go wielkim politykiem, nie nazwie go nigdy wielkim człowiekiem — a za geniusz uchodzić może tylko u tych, którzy z dumą już rozpowiadają, że miał w obwodzie głowy aż 62 centymetry: koń ma więcej. Geniuszem nie był, bo nie miał zgoła idei; trudno wystawić sobie nawet głowę tak w idee ubogą, która jednakże takie wiry w świecie wywołać umiała. Bardzo byłoby nauczającem studyum jego umysłowości.

Tydzień polityczny. Okólnik wręczony posłom zagr. przez hr. Murawiewa d. 26 z. m. (ob. artykuł wstępny dzis. numeru *Prawdy*) wywołał w Europie przewidywane wrażenie. Z wrażliwością połączyć się musiały logiczne sądy. Polityka jest z istoty swej zawsze konkretną, czy ma do czynienia z teraźniejszością, przeszłością czy przyszłością, zawsze operuje tylko faktami: dla tego też dzienniki poważniejsze, otarłszy się tylko o oderwaną zasadę rozzbrojenia, przechodzą szybko do warunków i sposobów spełnienia faktu przyszłości, kiełkującego w zasadzie. Miarę trudności daje *Temps*, wołając: „Ośmielamy się mieć nadzieję, że konferencya ożywiona będzie tym samym duchem, z jakiego wyszła myśl okólnika." *Koln. Ztg* odpowiada za rząd niemiecki, że „jeśli Niemcy przy zmniejszonej sile znajdą swe bezpieczeństwo, chętnie przystaną na konferencyę." *Times* widzi „potrzebę uregulowania wprzód wielu drażliwych i zawikłanych kwestyi," a *Tribuna* wyraźnie jedną z nich wskazuje: Alzacyą. *Patrie* twierdzi, że Anglia nie przystanie na dobrowolne uszczuplenie swych sił morskich, a Dilke wręcz oświadcza, że nawet marzyć, o tem nie wolno — Anglikowi. Zewsząd wiatr niepomyślny. Rozzbrojenie musi być i lądowem i morskiem; ale mogłoby być tylko częściowem. Miałoby wtedy znaczenie przeważnie fiskalne: zmniejszyłoby się brzemię, jakiem przyszła wojna przygniata wciąż teraźniejszy pokój.

Pomiędzy Anglią a Hiszpanią powstaje spór o fortyfikacye, które w pobliżu Gibraltaru, na swoim gruncie, wzniosło państwo tak srodze teraz doświadczone przez los wojny. Hiszpański minister spr. zagr. Almovador broni prawa, Anglicy—faktu, a faktem jest ich siła.

Przewidywania zaczynają się sprawdzać: teraz już wytwarza się w Stan. Zjedn. stronnictwo *great empire*, które chciałoby rzeczpospolitą zamienić na mocarstwo zdobywcze. Ostateczne wcielenie wysp Hawajskich, o którem doniesiono z New-Yorku d. 23 i 24 z. m. wzbogaca schemat zarysowany przez preliminarya pokoju z Hiszpanią. Nowemu apetytowi nie wystarcza już Luzon: chcą całego archipelagu Filipin.

Nieporozumienie Anglii z Chinami o drogi żelazne ciągle się jeszcze jątrzy. Do Wei-hai-wei zawinąć ma wszystka flota angielska na wodach chińskich. Poseł Scott spodziewa się opór złamać. O drogi żelazne spierają się też Niemcy: chcą je z Tientsinu na południe i wschód przez Szantung sami budować. W pogróżkach prześwituje gotowość zajęcia całej prowincyi, do której należy Kiao-czau.

Narady ministrów w Peszcie znowu wydały w rezultacie zero. Cesarz sam teraz musi ugodę narzucić. Uczyni to po wielkich manewrach w drugiej połowie b. m. Być może, iż hr. Thun chwyci się Niemców, a puści Czechów i zniesie rozporządzenia językowe. Wtedy od Galicyi tylko będzie zależało powodzenie takiej polityki. Jeżeli Koło usłucha *Słowa polskiego*, a posłowie wszyscy jak są, usłuchają Koła: ugoda obędzie się i bez aktu pozakonstytucyjnego i bez § 14-go. Ale wtedy rozpocznie się dyktatura Niemców w Przedlitawii, a lepiej chyba z niekonstytucyjnym Fran. Józefem, niż z konstytucyjnymi Mengerami, Chlumeckymi, Schönererami i Wolfami.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

DLA LUDU.

Od chwili wprowadzenia monopolu spirytusowego, sprawy ekonomicznej, weszła u nas na porządek dzienny sprawa czysto społeczna — rozrywek ludowych. Właściwie istniała ona oddawna i zawsze była na czasie, ale obecnie wyraźniej się zarysowała. Stosunki nasze tak dziwnie i tak smutnie zarazem się ułożyły, że szynk w mieście, a karczma na wsi — to były dotąd jedyne przybytki, zaspakajające moralne i umysłowe potrzeby ludu. Stąd to charakterystyczne obecnie zjawisko, „otrzeźwienie ludu," przypisywane monopolowi, tj. że z chwilą, gdy zamknięto owe zakłady rozrywek, spożycie wódki w wielu miejscach do tego stopnia się zmniejszyło, że musiano pozamykać sklepy skarbowe. Następnie zdarzył się fakt jeszcze wymowniejszy. Podczas zabaw ludowych w parku na Pradze zdobywano przemocą płatne miejsca sie-

---

W czasie rozmyślań tych nad sobą przyszedłem do przekonania, że pomiędzy mną a większością mych kolegów uniwersyteckich istniał przedział duchowy znacznie większy, niż sam przypuszczałem. Ich zuchwałe negacye nie obaliły wiary mojej bynajmniej—tylko odsuwały ją w najgłębsze sanktuarya duszy, żyła tam zawsze, przybierając coraz nowe, a coraz silniejsze formy. Znałem i ja zrosłą mękę zwątpienia, szpony rozumu i krytyki. Z rozpaczną bezsilnością stałem przed zagadką boskiego wszechmiłosierdzia i ziemskiego wszechmęczeństwa, lecz ze wszystkich tych cierni wykwitał zawsze zwycięzko płomienisty kwiat miłości. Dusza szła dalej ciężką, niepewną drogą, szukając śladu Chrystusowego.

Zostałem chrześcianinem.

Nie mogąc wbrew prawu zmienić urzędowo nazwiska, przybrałem sobie tylko nowe miano: jako *Ismael* wstępowałem na nieznany mi grunt bezbrzeżnej pustyni nowego życia.

VII.

Sądzę, że każdy misyonarz afrykański przychylniej bywa przyjęty i „milej" wysłuchany przez swe buszmeńskie czy syngalskie „owieczki," niż ja słuchany byłem przez braci moich z krwi i kości we wschodniej Europie, nad morzem kłębiącem się od statków wszelkich cywilizowanych narodów. Zapewne niemało w tem było i mojej winy... Chciałem zbliżyć się do nich i zyskać ich zaufanie. Szedłem szukać ich dobrych stron, tłomaczyć i przebaczać ich złe strony. Lecz gdy mię badać poczęli, wypowiedziałem odrazu, a w sposób dla nich przystępny wierzenia i przekonania moje. Wtenczas część znaczna ich traktować mię poczęła jako szaleńca i komedyanta. Inni zaś powiesili mię moralnie na jakiemś drzewie-pręgierzu, jak afrykańczycy — i zamknęli oczy i uszy, aby nie widzieć i nie słyszeć mojej ochydy odstępczej. Najfanatyczniejsi schowali się przede mną w wysokich murach jerychońskich, kryjąc zapewne za nimi nieznane skarby duchowe, a pozostawiając za to widomą tylko wstrętną powierzchowność, dawno, niestety, mi znaną. Teraz i żali wstręt mój przeminął. Nie mogę i nie śmiem — ja, syn tej rzeszy nieszczęśliwej, czernić ją w zwykły sposób na tych kartach. Podejrzliwość jej lepiej już teraz rozumiem, tak samo jak jej ślepotę i niesprawiedliwość. Zrozumiałem też dzisiaj, iż mniej niż każdy inny nadawałem się do tej próby — arystokratyczny młodzieniec, marzyciel i idealista.

Przez czas niemały oblegałem tę twierdzę, ale nie rozpadały się jej mury od moich nawoływań; przemagając wstręt, próbowałem się dostać do ich wnętrza jako rzecznik współczesnych europejskich ideałów, ale zagradzano przede mną wszystkie przejścia, albo zbywano lada jakim wykrętem i szychem. Naroszcie z głębokim bólem skonstatowałem marność moich wysiłków i odszedłem pełen goryczy i powiem szczerze — wzmożonego wstrętu. Oskarżałem w myśli te ciemne, brudne masy, wynajdowałem coraz nowe teorye postępowania, a rzeczywistość zamiast nas zbliżać, stawała zawsze pomiędzy nami.

Nie odwróciłem się jednak od nich całkowicie. Nie mogąc pracować wpośród nich — z niemniejszym idealizmem rzuciłem się pracować dla ich sprawy. Pragnąłem wywalczyć sprawiedliwość dla tych, którzy względem mnie byli niesprawiedliwi.

Wstąpiłem do redakcyi pisma biernego dość w kwestyi żydowskiej, jako tłomacz posiadający dobrze parę języków. Ze stanowiska tłomacza miałem nadzieję przenieść się z czasem na stanowisko czynno-

dzące w teatrze przygodnym p. Dobrzańskiego. Tłumy, zgromadzone na upale, z najwyższem zajęciem i prawdziwym entuzyazmem wysłuchały „Łobzowian,“ tudzież „Majstra i czeladnika.“ Stojący zaś zdala, którzy nie mogli dobrze wszystkiego usłyszeć i zobaczyć, mieli „objaśniaczów,“ skupiających około siebie gromadki ciekawe. Są to najwymowniejsze dokumenty życiowe, dowodzące, jak dalece lud nasz pożąda rozrywek szlachetnych i pożytecznych.

Po za obrębem Królestwa Polskiego już się rozwija powoli działalność w tej mierze z wielkiem powodzeniem. Na kilku wystawach rosyjskich widzieliśmy specyalne oddziały zabaw i rozrywek ludowych. Zgromadzone tam przedmioty, książki i sprawozdania świadczyły, że sprawa ta nie jest traktowana lekko i teoretycznie. Między innemi wystawiono tam najtańsze przenośne całe urządzenia sceny ludowej, doprowadzone możliwie do najwyższej doskonałości. Obecnie, gdy stworzono kuratorya trzeźwości i ze sfer wyższych poczyniono ułatwienia, działalność w tym zakresie jeszcze bardziej się rozwinęła.

Tymczasem u nas dotąd wszelkie usiłowania nie przekraczały granic projektów. Dopiero cele filantropijne stworzyły pośrednio dorywcze zabawy ludowe; w ostatnich zaś dniach pisma doniosły o udzieleniu w Petersburgu koncesyi na otwarcie u nas dwu teatrów ludowych: w Warszawie i na Pradze. Nie wiemy tylko, kto tę koncesyę uzyskał; zapewne jakiś przedsiębiorca prywatny. W każdym razie na początek i to dobre. W zasadzie wszakże i w dalszym rozwoju działalności, charakter przedsiębiorstwa prywatnego, jako źródła zysków osobistych i może spekulacyi, musi być zupełnie usunięty. Powinna tu działać tylko inicyatywa społeczna w najszerszych granicach, która nie poprzestając na teatrze w ścisłem znaczeniu, ogarnęłaby wogóle rozrywki i zabawy ludowe wszelkiego rodzaju. Godzimy się najzupełniej z tem, co już przed kilku tygodniami powiedział p. Koszutski w *Tygodniku Ilustrowanym*, że specyalny gmach teatru ludowego należałoby wyzyskać pod każdym względem; a więc w sali, przeznaczonej na widowiska, można byłoby urządzać koncerty popularne, upowszechniające śród szerszych mas muzykę swojskich i wybitnych obcych kompozytorów. Nadto w pewne dni teatr dawałby przedstawienia poranne dla dzieci rzemieślników i robotników za drobną opłatą kilkokopiejkową. Korzystałyby także z tych widowisk dzieci z przytułków i ochron. Ta sama sala mogłaby wreszcie być salą odczytową. Co do sił, obawy być nie może. Mamy dużo zdolnych aktorów prowincyonalnych, którzy na poniewierce i tułaczce tracą zdrowie i zdolności. Teatr *stały*, nienależący do przedsiębiorców-spekulantów, ochroniłby ich od wyzysku i zapewniłby istnienie materyalne. W takich warunkach można byłoby zwerbować najlepsze siły aktorskie, zarówno wokalne, jak i dramatyczne. O repertuar również niema obawy. Jest sporo sztuk Anczyca, Bałuckiego, Blizińskiego, Gałasiewicza, Kośmińskiego, Zapolskiej i innych. Zresztą niewątpliwie znalazłyby się nowe, wybitne siły autorskie. Trzeba tylko zapewnić możność ich rozwoju. Dotychczas one drzemią, bo nie mają ani pola, ani bodźca. Wogóle wstęp na scenę młodych autorów jest połączony z wielkiemi trudnościami, utwory szczęśliwszych leżą przyjęte już kilka lat. Ci zaś, którzy nie mają protekcyi, nie mogą liczyć wyłącznie na swój talent i na to, ażeby przed nimi otworzyły się same podwoje sceny. Otóż tam, gdzie nie będzie rządziła prywata, stronność, gdzie staną na czele ludzie z wyrobionym smakiem estetycznym, którzy potrafią rzetelnie ocenić utwory pod względem ich wartości literackiej i scenicznej, którzy wreszcie potrafią odczuć potrzeby duchowe i moralne szerokich mas — tam niewątpliwie znajdzie się grunt przyjazny dla rozwoju nowych talentów i ich płodności.

Stała organizacya oświaty i rozrywek ludowych, oparta na podstawach pomocy społecznej, dałaby możność także rozwojowi naszych sił produkcyjnych. Obecnie wydawcy książeczek popularnych skarżą się na autorów, którzy oznaczają zbyt odległe terminy prac zamówionych i skutkiem tego wydawnictw takich jest u nas stosunkowo mało. Otóż cała tajemnica leży przedewszystkiem w tem, że autorowie ci otrzymują zbyt skromne honorarya, a następnie, że zajęci pracą obowiązkową, codzienną, mało mają chwil wolnych do wykonania takich prac zamówionych. Produkcya w tym zakresie tylko wtedy wzrośnie, gdy ta praca będzie się opłacała autorom, bo trudno przecież wymagać od nich ofiar kosztem podstaw własnego bytu na rzecz... wydawcy. Na tę okoliczność w przyszłości należy zwrócić baczną uwagę.

Co do zadania teatru ludowego, obok sztuk scenicznych (dramatycznych i operowych) ważne miejsce należy się muzyce. I pod tym względem nie możemy się obawiać braku sił wykonawczych. Stworzono, z wielkim wprawdzie mozołem, lecz niezłą orkiestrę, która przez kilka miesięcy grywała pod kierunkiem p. Sonnenfelda w Bagateli. Ale ponieważ publiczność nasza rządzi się modą i uprzedzeniem, więc obdarzała swymi względami obcych w Dolinie Szwajcarskiej, swoi zaś musieli grać przed pustemi krzesłami. Ta sama orkiestra, użyta do koncertów popularnych w organizacyi rozrywek ludowych, może mieć wielkie powodzenie i wyrobić sobie stałe podstawy bytu, byleby tylko wstęp na takie koncerty był bardzo tani. Sala teatru ludowego, jak rzekliśmy powyżej, mogłaby służyć także do odczytów. I w tym zakresie znajdą się bardzo dobre siły we wszelkich gałęziach wiedzy; że zaś takie odczyty mogłyby mieć wielkie powodzenie, zbyteczna dowodzić. Chcąc atoli, żeby te wszystkie zadania weszły możliwie najprędzej w życie, nie trzeba ich uzależniać od istnienia gmachu na teatr ludowy. Niech nam bodźcem i przykładem będzie działalność charkowskiego

---

go członka redakcyi i jako publicysta oddziaływać na kierunek wpływowego dziennika, aby z biernego stał się bezstronnie sprawiedliwym. Lekceważąco podejrzliwy ton nicht nowych kolegów, znających tylko mój pseudonim — Ismaël, choć łagodzony do pewnego stopnia obejściem mojem i wychowaniem, poczynał mię jednak z dniem każdym coraz niecierpliwiej drażnić i rozluźnione już nerwy poprzedniemi eksperymentami rozchwiewać coraz bardziej. Czułem, że chłodny takt mój przy ciągłem akcentowaniu godności mej osobistej i plemiennej staje się coraz mniej naturalny, czułem, że nadejdzie chwila, kiedy wybuchnę i zrujnuję całą mą pracę mozolną. Ale dość długo stosunkowo nie miałem bezpośredniego powodu do obrazy — i zdawało się nawet, że wywalczyłem sobie pewne uznanie w redakcyi po paru samodzielnych artykułach. Przekonałem się jednak dość wcześnie, jak słabą była oporność moja — i jak oczekiwałem pierwszej lepszej sposobności — „by ująć się za sobą“ lub „rzucić wrogom rękawicę.“

Pewnego razu siedziałem schylony nad nowym artykułem, gdy frazes powiedziany półgłosem przez redaktora wstrząsnął mną od stóp do głowy:

— A to prawdziwie po żydowsku! — rzucił jakby do siebie po odczytaniu jakiegoś ustępu w gazecie.

Zerwałem się nagle i stanąłem przed nim, prawie nie zdając sobie sprawy z tego, co robię.

— Co, proszę pana, jest „po żydowsku“ — i co pan przez to rozumiesz?

— Na zapytanie pańskie, a zwłaszcza na *ton* zapytania nie czuję się obowiązanym odpowiadać! — odparł mi chłodno ten jegomość, wzruszywszy ramionami.

— Przepraszam pana — żądam i mam prawo żądać tej odpowiedzi, jako Żyd tu obecny — żądam jej, zresztą, w formie grzecznej — proszę!

— Cóż za typowa arogancya w tej natarczywej czepianinie, mój panie! Nie odpowiem — i rzecz skończona.

— „Typową“ arogancyę — zrozumiałem doskonale i tem bardziej pozwalam sobie wymagać pańskiej odpowiedzi. Wymuszę ją na panu.

— A więc bardzo pięknie — zmusiłeś pan, to odpowiem: po żydowsku, to znaczy podle, nikczemnie, po tchórzowsku! — mówił, kierując się do swego gabinetu.

Szalejąc z gniewu — jak ranne dzikie zwierzę — podbiegłem w mgnieniu oka do tego człowieka i wymierzyłem mu policzek. Pozwoliłem sobie na to wstrętne i brutalne zadośćuczynienie, o którem dawniej słyszeć nie mogłem bez dreszczu obrzydzenia. Sekretarz rzucił się na mnie, otrząsnąłem się z ogromną siłą nerwową i zatrzymawszy się we drzwiach wchodowych, rzuciłem:

— Pojedynek!

— Pojedynek?! Z tobą plugawy Żydzie?! Cha, cha! — śmiał się i klął zarazem mój przeciwnik.

W przedpokoju jeszcze słyszałem ten wstrętny, wzgardliwy dnet śmiechu. Policzek jednak żydowski tak piekł widocznie tego pana, że chociaż zwyciężyłem pokusę i nie odkryłem prawdziwego swego nazwiska, pojedynek się odbył. Zraniłem go mocno, chociaż nie śmiertelnie i musiałem odbyć kilka miesięcy ciężkiego więzienia. Przed matką moją, bawiącą wówczas na południu Francyi, ukryłem, naturalnie, rzecz całą, jak i wszystkie wogóle przykre strony nowego życia mojego.

(C. d. n.)

Towarzystwa oświaty, które wyzyskało na swoje potrzeby różne lokale, wolne w pewnych porach dnia lub wieczora. Tak np. odczyty urządzono w szkole realnej, nadto w szkole moskalewskiej i na Łysej Górze w lokalu szkółki parafialnej. To ostatnie audytoryum, z powodu różnych niedogodności, po trzech latach istnienia zamknięto, a następnie zorganizowano wykłady w koszarach moskalewskich. Wreszcie urządzono odczyty w przytułku noclegowym miejskim i we wsi Dergaczach, o 13 wiorst od Charkowa, w lokalu szkółki cerkiewno-parafialnej. Tym sposobem wykłady odbywają się w pięciu audytoryach. Z początku pobierano opłatę za wejście; ażeby zaś uprzystępnić wykłady ludności najuboższej, rozdawano pewną ilość biletów bezpłatnie w warsztatach rzemieślniczych tudzież kasach audytoryum. Przekonano się atoli, że nawet bardzo skromna opłata, 3—5 kop., jest do pewnego stopnia ciężarem dla ubogich; wielu zaś dorosłych, jak głosi sprawozdanie, które mamy pod ręką, wstydziło się żądać biletów bezpłatnych. Urządzono tedy odczyty zupełnie bezpłatnie, pozostawiwszy słuchaczom możność wnoszenia do puszek ofiar dobrowolnych. Dzięki temu sposobowi, odrazu zyskano liczne zastępy słuchaczów. Zauważono przytem, że robotnicy prości przychodzą tylko do audytoryum moskalewskiego i do przytułku noclegowego. Podobno jest dla nich krępującem chodzenie na wykłady do lokalu szkoły realnej. To samo zauważono w Odesie. Robotników krępował gmach zarządu miejskiego, gdzie się odbywały odczyty; natomiast bardzo chętnie szli oni na wykłady w przytułku noclegowym. We wsi Dorgaczach zastępy słuchaczów rekrutują się z włościan miejscowych, między którymi znaczny procent stanowią kobiety. Organizacya charkowskich wykładów przystępnych ma już dziś na własność wszelkie niezbędne środki pomocnicze, jak latarnie czarnoksięzkie, tudzież znaczną kolekcyę obrazów niknących, które nabyto za 2½ tysiąca rubli. Charkowskie ognisko wykładów dla ludu rozwija się bardzo pomyślnie i rzuca dziś już szerokie promienie na okolicę. Odczyty zorganizowano w miastach: Taganrogu, Sumach, Czugujewie, Bogoduchowie, tudzież wsiach: Udach, Barwienkowie i in. Do wszystkich tych miejscowości komisya charkowska posyła bezpłatnie swoje obrazy niknące, których zapotrzebowanie jest tak wielkie, że nie można im w zupełności zadośćuczynić.

Godna jest uwagi również działalność newskiego Towarzystwa urządzania rozrywek ludowych w Petersburgu. Z tych prób, zastosowanych bardzo pomyślnie w praktyce, moglibyśmy wyciągnąć wiele wskazówek pożytecznych. Najważniejszą z nich jest ta, że wszędzie, gdzie żywy udział wzięła inicyatywa społeczna, tam działalność około oświaty i podniesienia kultury ludu, daje najlepsze owoce. Ludzie energicznie i szczerze odczuwający potrzeby mas, wzięli się do tej pracy bez grosza i dziś zyskali już dość znaczne fundusze oraz szerokie koła członków, niosących swą pomoc we wszelkich postaciach. W organizacyi tej niezmiernie ważnej sprawy społecznej należałoby również sięgnąć po wzory i wskazówki za granicę *).

LISTY PETERSBURSKIE.

Stan zdrowotny ludności w państwie rosyjskiem. — Środki najpilniejsze do złagodzenia klęski. — Oświata ludowa w Finlandyi. — Poglądy oficyalne na znaczenie politechniki warszawskiej.

Nadzwyczaj ciekawą i obszerną pracę p. D. Rajskiego o chorobach i śmiertelności w Rosyi zamieściły *St. Peterb. Wied.* Fakty i oświetlenie, podane przez autora, wkraczają w zjawiska społeczne i nie mogą być obojętne dla naszych czytelników. Postaramy się skorzystać z tych danych i z najcharakterystyczniejszych stworzyć szkic ogólnych warunków zdrowotnych w państwie. Na mocy bogatego materyału autor przychodzi do przekonania, że zarówno w miastach, jak i na wsi, wszędzie w całem Cesarstwie śmiertelność i choroby stanowią olbrzymi procent. Wszelkie opidemiczne odznaczają się charakterem żywiołowym. Dyfteryt np. w wielu miejscowościach ustaje dopiero wtedy, gdy pochłonie wszystkie ofiary w „wieku dyfterytowym.“ Co do miast wogóle pod względem śmiertelności, Moskwa i Petersburg w stosunku do miast europejskich przedstawiają straszny obraz. Pierwsze miejsce zajmuje Moskwa, w której na 1,000 osób umiera 44,9. Następnie idzie Petersburg — 29, dalej z miast europejskich Wiedeń — 19,2, Berlin — 16,7, Paryż — 16,3 i Londyn — 14,5. Pod względem ogólnej śmiertelności całe państwo w stosunku do Europy zajmuje pierwsze miejsce: 32 na tysiąc. Jeżeli zaś z ogólnego rachunku wyłączymy gubernie nadbałtyckie (19—25 na tysiąc), Królestwo Polskie (23) i sześć gubernij północno zachodnich (27), otrzymamy stosunek znacznie większy. Tak np. w wielu guberniach śmiertelność waha się między 40 a 54 na 1,000 (Orenburska 52, Moskiewska 53,40). Jeżeli zaś weźmiemy niektóre miejscowości oddzielnie, to otrzymamy procent wprost przerażający. Tak np. w niektórych powiatach gub. Wiackiej, Smoleńskiej i Ołonieckiej śmiertelność dochodzi do 60—70 na tysiąc. Według świadectwa dr. Osipowicza, w niektórych miejscowościach pow. Moskiewskiego umiera do 73. Czasem zaś na dyfteryt umiera 100 na 1,000. Procent chorych w całem państwie również jest olbrzymi. Z tablicy, podanej w pracy p. Rajskiego, widzimy, że dyfteryt z roku na rok wzrasta coraz bardziej i ogarnia coraz szersze przestrzenie. W ciągu pięciolecia (1886—1890) liczba chorych wzrosła z 26 do 124 tysięcy, tj. zwiększyła się pięć razy. Ospa nie oszczędziła żadnej gubernii. W r. 1887 zachorowało 10,287, w 1890 aż 91,422. tj. w ciągu trzech lat liczba zwiększyła się *dziesięć razy!* Prawie w takim samym stosunku wzrasta tyfus i inne choroby zakaźne.

Ale najstraszniejszą klęską ludności jest syfilis, choroba groźniejsza, niż tyfus, cholera, dyfteryt i wogóle wszystkie razem wzięte. Nietylko rozstraja on i wyczerpuje siły, lecz skazuje na zagładę całe pokolenia. Już dziś nie ulega żadnej wątpliwości, że ludność pod wpływem tej strasznej choroby wymiera i wyradnieje. Procent syfilityków po wsiach z każdym rokiem olbrzymio wrasta. Według danych urzędowych, w r. 1866 ta kategorya stanowiła 8,7% wszystkich chorych, leczących się w szpitalach. W 1876 było ich już 11,28, w 1887 — 13,7, w 1889 — 14,2, w 1890 — 14,8%. Ale włościanie-syfilitycy niechętnie idą do szpitala i wolą się leczyć środkami domowymi, a więc w rzeczywistości procent musi być znacznie większy. Tak też utrzymują lekarze, mający bezpośrednio do czynienia z ludnością wiejską.

Dr. Podoliński w swojej broszurze p. t. „Zdrowie włościan na Ukrainie,“ mówi: „We wszystkich częściach Ukrainy, gdzie mi się zdarzyło przebywać, tj. w guberniach: Kijowskiej, Wołyńskiej, Podolskiej, Chersońskiej i Charkowskiej, bądź na podstawie własnych spostrzeżeń, bądź innych lekarzy, przyszedłem do wniosku, że liczba chorych na syfilis wynosi najmniej 10—15% ogółu ludności, przeważnie zaś waha się między 20 a 30%.“ W dalszym ciągu doktór ten zaznacza, że we wsi Jarosławka pow. Czehryńskiego, z której staje co rok do poboru wojskowego 6—9 ludzi, zawsze zdarzy się jeden, a nawet dwu niezdatnych z powodu syfilisu. W pewnych guberniach Cesarstwa są wsie, których ludność bez wyjątku (starzy, młodzi, dzieci, mężczyzni i kobiety) jest dotknięta tą okropną chorobą. Szerzy się ona rozmaitemi drogami zarażenia.

Stan zdrowotny ludności, jak wiadomo, wogóle zależy ściśle od kulturalnych, ekonomicznych i społecznych warunków bytu, a więc mieszkanie, położenie wsi, brak pojęcia o hygienie, zwyczaje, rodzaj pracy, sposób odżywiania się, brak odpowiedniej organizacyi lekarskiej itd. — to są główne czynniki klęski. Warunki antizdrowotne najdotkliwiej się odbijają na dzieciach i pokoleniu dorastającem. Od chwili urodzenia się dziecko przechodzi straszliwe koleje. Najpierw katują je wszelkiego rodzaju znachorki i babki. Gdy zauważą, że niemowlę jest słabe, muszą je „przepiec,“ tj. napaliwszy w piecu i zaczekawszy, aż trochę wystygnie, wsuwają na chwilę dziecko na łopacie. Od tego ma ono lepiej rosnąć, wzmocni się i będzie spokojnie spało. Nadto specyalistki te „prostują“ niemowlęta: wyciągają, miętoszą, nacierają solą, parzą w łaźniach, spuszczają główkę w dół i potrząsają za nóżki. Po wykonaniu tych okropnych operacyj dziecko stopniowo, w miarę rozwoju, przechodzi inne katusze. Wiecznie otoczone brudem i niechlujstwem, odżywiane licho, a nawet zabójczo, bo już od niemowlęcia jest dokarmiane mlekiem krowiem, ogrzewanem w ustach niańki. Pozostawione bez opieki lub pod opieką dziewczynki kilkoletniej, staje się nieraz ofiarą różnych wypadków. Pełza po ziemi brudnej, przebywa razem ze zwierzętami. To też zwykle ciało dziatwy włościańskiej jest pokryte wysypkami i liszajami złośliwej natury. Wszelkie choroby epidemiczne łatwo jej się czepiają. Wogóle śmiertelność dzieci włościańskich jest olbrzymia, o 50% większa, niż na zachodzie Europy.

Organizm od niemowlęctwa skazany na takie próby, nie może być opornym. To też rzadko można spotkać chłopa prawdziwie i zupełnie zdrowego. Skutkiem ciasnoty i niechlujstwa, jedna choroba zwykle napada na całą rodzinę. Do najpospolitszych należy świerzba, która najsilniej rozwija się w zimie i nawiedza całe wsie. Febry w wielu miejscowościach Rosyi są straszliwą klęską, gdyż nietylko rujnują zdrowie, ale i wyrządzają wielkie straty materyalne; chory bowiem, najczęściej podczas najpilniejszych robót, pracować nie może. Przyczyną tej choroby jest położenie wsi w nizinach, w pobliżu błot i rzeczek błotnistych, wysychających, zabagnienie ulic, zagród i izb. Choroby żołądkowe, zwłaszcza latem, nie mniejszą są klęską.

Usunięcie tych strasznych niedomagań ludności, to ogromne i niezmiernie złożone zadanie społeczne, które się nie da ani

*) List naszego korespondenta berlińskiego w nr. dzisiejszym *Prawdy* zawiera ciekawe w tej mierze szczegóły.

raptownie, ani łatwo przeprowadzić. Państwo i społeczeństwo muszą dążyć rozmaitemi drogami, jeżeli nie do usunięcia, to przynajmniej złagodzenia tej plagi, która wycieńcza siły ludności i obok innych klęsk ekonomicznych przyczynia się do zupełnej jej ruiny. Chcąc atoli działać, trzeba przedewszystkiem rozświetlić te olbrzymie obszary, grubym mrokiem pokryte. Dopóki ciemnota panować będzie niepodzielnie, póty żadne przeciwdziałania ani doraźne, ani stałe, nie dadzą najmniejszych owoców. Jest to zjawisko powszechnie stwierdzone, że w miarę wzrostu oświaty wzmaenia się stan zdrowotny ludności. To jeden z głównych środków, tem ważniejszych, że w masach budzi samowiedzę i potrzebę walki z niemocą.

Finlandya pod względem zdrowotnym znajduje się w warunkach względnie pomyślnych; bo też i oświata stoi tam stosunkowo dość wysoko. Za twórcę szkolnictwa ludowego jest tam uważany Uno Signens, pod którego wskazówkami stworzono uczelnie na wzór zagranicznych, przeważnie szwajcarskich. Od r. 1860 był on głównym inspektorem szkół ludowych w Finlandyi. Od tego czasu liczba owych zakładów stale wzrastała. W r. 1865/6 po wsiach istniało tylko 20 szkół, gdy w miastach nie było żadnej. Ale już po upływie dziesięciu lat większość miast posiadała je, a we wsiach liczba ich urosła do 285. W szkołach miejskich było 180 nauczycieli a 6,483 uczniów i uczenic; w wiejskich — 294 pierwszych i 11,421 drugich. Następnie daje się spostrzegać wzrost coraz szybszy: w r. 1885/6 we wsiach było już szkół 667, nauczycieli 683, uczniów i uczenic 24.305. W ostatniem dziesięcioleciu przystąpiono do organizacyi wyższych szkół ludowych. W r. 1895/6 liczba wiejskich szkół ludowych urosła do 1,273, nauczycieli 1,396, uczniów 56,956. Pomimo tak wielkiego postępu, w tym samym roku liczono jeszcze w całej Finlandyi 139,745 dzieci (7—13-letnich), pozbawionych możności uczęszczania do szkół. Wynika to poniekąd z braku odpowiedniej liczby uczelni, niedogodnego ich rozmieszczenia, tudzież ubóstwa rodziców. Z tego powodu powstała myśl wprowadzenia obowiązkowej nauki dla wszystkich dzieci bez wyjątku. Ale ponieważ grunt do takiej reformy nie jest jeszcze dostatecznie przygotowany, więc na ostatnim sejmie 1897 r. postanowiono użyć środków przejściowych; mianowicie cały kraj podzielić na rewiry szkolne, z tym warunkiem, ażeby najdalsza odległość uczelni, umieszczonej w środku rewiru, nie przewyższała 5 kilometrów. Szkoła bezwarunkowo powinna być otwarta, skoro tylko na danej przestrzeni znajdzie się 30 dzieci do nauki. Tak dziś stoi sprawa oświaty w tym kraju, ubogim w zasoby ziemi, światło słoneczne i ciepło, a tak bogatym w wytrwałość, energię i pracowitość narodu dalekiej północy.

Kwestya szkolna wogóle ożywiła się w chwili obecnej, gdy podwoje prawie wszystkich zakładów naukowych lada dzień będą już otwarte. Między innemi budzi powszechne i żywe zajęcie sprawa politechniki warszawskiej. Organ ministeryalny, *Wiestnik finansów*, poświęcił jej osobny artykuł ze stanowiska potrzeb ekonomicznych. Podkreśla on ten fakt, że obecnie znaczna część młodzieży z Królestwa Polskiego, pomimo drożyzny nauki za granicą, odbiera wykształcenie techniczne w politechnikach obcych. Według danych warszawskiego oddziału Towarzystwa przemysłu i handlu, w r. 1897 w 15 szkołach technicznych Europy zachodniej kształciło się przeszło 400 Polaków z Królestwa Polskiego. W rzeczywistości wszakże liczba ich musi być znacznie większa, o niektórych bowiem zakładach nie zebrano odpowiednich wiadomości. „W razie założenia w kraju wyższej szkoły technicznej, wydawane na naukę za granicą znaczne sumy pozostałyby w kraju, wykształcenie techniczne stałoby się dostępne nietylko dla warstw zamożnych i powoli wytworzyłby się zastęp techników miejscowych z wykształceniem specyalnem, którzy pracując dla rozwoju przemysłu miejscowego, przecięliby obecny napływ do kraju fabrykantów, przemysłowców i techników zagranicznych, przybywających do nas z kapitałami obcymi."

Specyalnych sił nowych wymagają warunki produkcyi i eksploatacyi. Rudy żelazne w Królestwie Polskiem zawierają niewiele metalu; węgiel, nie mówiąc już o jego mniejszej wartości, jako opał, niezdatny jest do koksowania, więc z tego powodu przemysł żelazny musi używać drogiego koksu zagranicznego. Ceny produktów surowych w znacznej części Królestwa są daleko wyższe, aniżeli w różnych miejscowościach Cesarstwa. W końcu pismo zwraca uwagę na tę okoliczność, że współzawodnictwo zagraniczne, szczególnie niemieckie, jest uciążliwsze dla przemysłu miejscowego, niż dla innych, odleglejszych od granicy zachodniej ognisk przemysłowych. To są wszystko czynniki nieprzyjazne dla rozwoju przemysłu, który może być zależnym tylko od techniki nieustannie i szybko doskonalonej. Nowy zakład naukowy może i powinien w tej mierze odegrać ważną rolę. Warszawski instytut politechniczny, z małemi tylko zmianami, organizuje się na tych samych zasadach, co kijowski. Jak wiadomo, składa się on z trzech wydziałów: chemicznego, mechanicznego i inżenieryjno-budowlanego. Stworzenie wydziału rolniczego uznano za zbyteczne, „gdyż—jak utrzymuje *Wiestnik finansów*—wykształconych agronomów na potrzeby miejscowe dostarcza w dostatecznej liczbie Instytut gospodarstwa wiejskiego i leśnictwa w Nowej Aleksandryi." Ale ze względu że rolnictwo miejscowe odczuwa brak ludzi obeznanych dokładnie z robotami melioracyjnemi, do rzędu przedmiotów, wykładanych na wydziale inżenieryjno-budowlanym, włączono inżenieryę rolniczą.

Co do uwagi, że Instytut rolniczy wypuszcza dostateczną liczbę agronomów na potrzeby kraju, musimy zaznaczyć, że zakład ten przeważnie ściąga słuchaczów z odległych gubernij Cesarstwa i że wogóle wychowańcy jego szukają pracy przeważnie po za granicami Królestwa Polskiego. Rolnictwo nasze odczuwa brak wielki agronomów uzdolnionych. Że zaś instytut powyższy nie wystarcza, najlepiej świadczy znaczna liczba młodzieży z Królestwa Polskiego w politechnice ryskiej na wydziale agronomicznym i w różnych specyalnie rolniczych szkołach wyższych za granicą. Dlatego też, zdaniem naszem, wydział agronomiczny przy politechnice warszawskiej bardzo byłby pożądany.

Wiestnik finansów podkreślił grubo fakt, że do zarządu instytutu warszawskiego powołano trzech przemysłowców z Królestwa Polskiego: „Ten współudział przedstawicieli przemysłu miejscowego niewątpliwie jest bardzo pożądany dla pomyślnego rozwoju instytutu. Przyczyniając się do zbliżenia zakładu naukowego z rzeczywistem przemysłowem życiem kraju, mogą oni oddać nieocenione usługi przy wyszukiwaniu środków na ulepszenie i rozszerzenie instytucyj naukowo-pomocniczych, jak również przy ułatwieniu wychowańcom politechniki wstępu do miejscowych fabryk i zakładów przemysłowych."

Ze świeżo ogłoszonego rozporządzenia o założeniu politechniki warszawskiej, czerpiemy na zakończenie następujące szczegóły: Na utrzymanie jej wyznaczono w roku bieżącym 43,625 rb. w 1899 r. — 122,137 rb., 1900—180,125 rb., w r. 1901—227,037 rb., a od r. 1903 po 261,600 rb. corocznie. Nadto, na przysposobienie profesorów do tego zakładu przeznaczono w r. b. 9,000 rb. na 1899 r. — 20,000, na 1900 r. — 18,000 rb.

Paweł Krzyżanowski.

Z NIEMIEC.

Berlin, 24 sierpnia.

Zabawy ludowe.

Działacze społeczni w Niemczech często biadają nad tem, iż sprawa ludu posuwa się naprzód żółwim krokiem. Niekiedy dochodzą nawet do fatalnego wniosku, iż zadanie to jest rozwiązywaniem kwadratury koła. Aby podnieść dobrobyt ludu, należy jego ciemnię duchową napełnić światłem wiedzy; ażeby go zaś wprowadzić na wyższy szczebel kultury umysłowej, należy poprawić jego byt materyalny. Obracamy się więc w błędnom kole. Wszystkie próby kształcenia i cywilizowania ludu dają owoce względnie ubogie, dopóki głowę biedaka zaprząta troska o byt — walka o minimum stopy życiowej. W ostatnich latach oświata ludowa jęła się homeopatycznej metody leczenia kalectwa umysłowego maluczkich za pomocą uszlachetniania ich rozrywki. Prąd ten wzmaga się ustawicznie i rokuje wielkie nadzieje. Dziś istnieje już silnie rozgałęzione stowarzyszenie, które wytknęło sobie ten cel. Odbył się kongres, na którym wyłożono i rozebrano wszelkie trudności napotykane na tej drodze oraz osiągnięte rezultaty. Wychodzi specyalne czasopismo, poświęcone tej idei i redagowane przez ludzi praktycznych, którzy robili doświadczenia w tym kierunku. W ostatnich tygodniach powstała centralna instytucya, która nagromadza materyał odnośny, kieruje całym ruchem, na żądanie wysyła organizatorów zabaw ludowych, prelegentów, programy itd. Oprócz tego istnieją zakłady prywatne (w Lipsku np. „Kosmos"), które dostarczają przyrządów, rękopisów i innych przyborów dla odczytów popularnych. Ruch ten wyłonił się właściwie przed dziesięciu laty, z inicyatywy stowarzyszeń trzeźwości i znalazł zapalonego apostoła, tudzież teoretyka w osobie Rafała Löwenfelda, dowódcy niemieckich tołstoistów i tłómacza „Śmierci" Dąbrowskiego. Ażeby lud odciągnąć od pijaństwa i rozpustnych sal tańców, działających w sposób rozkładowy na dusze prostaczków, postanowiono urządzać wieczorki literackie lub muzyczne, odpowiadające poziomowi ich inteligencyi, a jednak wznoszące się na wyżyny szlachetnej sztuki. W Dreznie powstał nawet stały klub ludowy wraz z czytelnią i biblioteką, gdzie po raz pierwszy zastosowano ten środek. Zasługa stworzenia formy dla nowej instytucyi należy do miasta Düsseldorfu, w którego ślady poszła cała prowincya ze stolicą na czele.

Dziś jedno już nie ulega wątpliwości, iż publiczność, składająca się z przedstawicieli warstw ubogich, unika dydaktyzmu z tonem protekcyjnym. Lud z takim sceptycyzmem i uprzedzeniem traktuje wszystko, co filantropia przedsięweźmie dla jego dobra, iż wszędzie doszukuje się chęci zaskarbienia sobie jej sympatyi. Przedewszystkiem zaś każdy wieczorek musi nosić piętno jednolitości, ażeby w ten sposób rozszerzyć widnokrąg umysłowy słuchaczów. Za hasło obiera się bądź pewien temat, bądź sławną osobistość, zależnie od charakteru miejscowości. Jeśli weźmiemy miasteczko o 1,000 mieszkańcach, niepodobna w niem urządzić

uroczystości Goethowskiej. W tych wypadkach inicyatorowie uciekają się do innych środków, a mianowicie naginają się do repertuaru miejscowych towarzystw śpiewackich, na których brak nie może się uskarżać w Niemczech najbardziej odległy zakątek. Chór, śpiewy, deklamacye i odczyty łączą się w jedną całość, której nić przewodnią stanowi „ojczyzna,“ „praca,“ „sztuka“ itd. W Berlinie wieczorki te, urządzane peryodycznie i ściągające po 3—4 tysięcy słuchaczów, pod względem artystycznym nie pozostawiają nic do życzenia, pomimo iż kierownicy robią ustępstwa wymaganiom i kaprysom publiczności. Tak np. zarzucono grę fortepianową, nielubianą przez lud. Spotęgowano dział humorystyczny, wywołujący entuzyazm. Wysunięto na plan pierwszy deklamacyę, przypadającą nadzwyczaj prostaczkom do smaku. Z programu natomiast wykreślono wszystko, co trąci melancholią. Rozrywka i smutek są dla ubogich duchem i majątkiem dwoma wykluczającemi się pojęciami. Löwenfeld pierwszy powołał do życia w Berlinie „wieczorki poetów i kompozytorów,“ na które magistrat raczył nawet oddać bezpłatnie swą największą salę. Robotnik berliński ma możność za 30 fenigów poznać Beethovena, Mozarta, Schuberta i utwory Goethego, Schillera, Heinego, Lenaua itp. Na prowincyi zniżono jeszcze cenę wejścia. Bezpłatne wieczorki okazały się niepraktycznymi. Lud w darowiznie, o ile ją wogóle ceni, węszy wędkę, grożącą przekonaniom. Z początku zachodziły wielkie trudności w rozprzedaży biletów. Zwykle wpadały one w ręce ludzi, mogących korzystać z płatnych instytucyj niefilantropijnych. Dopiero za pomocą sklepików, dystrybucyj i bawaryj dostają się bilety pod właściwym adresem. Niektóre miasta niemieckie, chcąc ulżyć kierownikom ruchu, wyznaczają ze swej szkatuły zapomogi.

„Centralna instytucya dla polepszenia bytu robotników“ próbowała w ostatnich latach urządzić koncert muzyki kościelnej dla warstw pracujących. Na koncerty te napływa zwykle do 3 tysięcy najmitów, którzy za pośrednictwem swych pracodawców dostają bilety na oratorya Handla, Bacha, Mendelsohna i in. Zaznaczę, iż nie daje się tu ludowi tandety, gdyż w koncertach tych przyjmują udział pierwszorzędni wirtuozowie stolicy. Wspomniana instytucya zwróciła się do tutejszych powag naukowych, prosząc o oprowadzanie w niedziele robotników po muzeach. Sporo uczonych przystało na tę wdzięczną rolę ciceronów. Za pomocą umyślnie sprawionego urządzenia stara się prelegent zapomocą ilustracyj odbijanych na ekranie zaznajamiać słuchacza ze współczesnym impresyonizmem niemieckim, Böcklinem, okresem Odrodzenia, Rembrandtem, Rubensem itp. W ten sposób lud obcuje z wielkimi duchami ludzkości.

Zbytecznem byłoby dodawać, iż upośledzonej pod względem kulturalnym wsi dostają się zaledwie okruszyny z tych wszystkich dobrodziejstw. Dopóki ruch nie przyjmie formy organizacyi, rozciągającej się na całe państwo, dopóty mowy być nie może o kształceniu wsi. Tymczasem sprawa spoczywa w ręku nauczycieli ludowych i zależy od ich dobrej chęci oraz poczucia społecznego obywateli okolicznych. W różnych miejscowościach podjęte w tym duchu próby udały się wybornie. Znalazły się wsie, które zainteresowało mocno czytanie dramatów Schillera. W innych zyskały poklask ballady klasyczne, jako oddźwięk zanikającej poezyi ludowej. Tu i owdzie zdarzają się wieczorki muzyczne, urządzane przez siły miejscowe i połączone z odczytami z dziedziny historyi kultury. Są to wszakże wszystko próby wyjątkowe, a jako takie nadzwyczaj bolesne, gdyż właśnie wsie na całym świecie dzieją pod względem moralnym i umysłowym i pozostaje w tyle za miastami. W Niemczech np. ze wszystkich stron rozlegają się skargi na pijaństwo i tańce, którym oddają się chłopi z namiętnością szałn.

H. F.

FEJLETON.

PAMIĘTNIK.

Zręczny manewr.

W ostatnich tygodniach Leon XIII zaczął tracić siły i wpadać w omdlenie, znamionujące niedaloki koniec życia, obciążonego bardzo późnym wiekiem. Na razie niebezpieczeństwo śmierci usunięto, ale nikt nie wątpi, że naturalną koleją rzeczy zjawi się ona znowu bardzo prędko. Wobec tej możliwości dzienniki europejskie podjęły sprawę następcy i zrobiły przegląd prawdopodobnych kandydatów na przyszłego papieża. Rozumie się, wielką, może nawet jeszcze większą ochotę ku temu poczuły pisma, mniej lub więcej zabarwione ultramontanizmem, bo przecież jest to dla nich i ich czytelników kwestya pierwszorzędnej wagi. Ale jak pogodzić obowiązek milczenia z potrzebą mówienia? *Est modus in rebus*. Jak na komendę lub po wzajemnem porozumieniu się wszystkie, od niemieckiej *Germanii* aż do naszych *Kuryerów*, przedrukowały dosłownie artykuł jakiejś podrzędnej gazety drezdeńskiej, zaopatrzywszy go swojem oburzeniem i uwagą, jakie to niedorzeczności w świat wychodzą. Tym manewrem przepłynęły zręcznie między Scyllą a Charybdą: i przyzwoitości wobec papieża, i ciekawości wobec czytelników uczyniły zadość. Łatwo sobie przytem wyobrazić, jak głęboką wdzięcznością, po za ujawnionem „oburzeniem,“ przepełnione są te pisma dla „pozbawionych taktu i rozumu“ dzienników, mówiących szczerze i otwarcie o następcy Leona XIII, które im dały sposobność do zabaczenia się o ten śliski przedmiot!

Klęska.

W całej prasie brzmi alarm, obwołujący niebezpieczeństwo, którem grożą naszym lasom i ogrodom dwa owady: brudnica nieparka i brudnica mniszka. W niektórych okolicach zniszczyły one już tysiące drzew, a nie wiadomo, jakie przestrzenie obejmie i jakie szkody wyrządzi okropny ich pochód. Wrogi te są oddawna znane i niestety żaden środek przeciw nim nie okazał się o tyle skutecznym, ażeby je mógł wytępić odrazu. Lepy, pasy, pochodnie itp. — są to zabiegi niedostateczne, trudne i kosztowne. Jedynym ratunkiem przeciwko tym, jak wogóle przeciwko wszelkim owadom szkodliwym, jest ciągła czujność, tępienie gniazd, zbieranie liszek, słowem ustawiczne powstrzymywanie mnożenia się. Jeżeli porównamy tę pracę zapobiegawczą, która jest dokonywana nieprzerwanie w społeczeństwach dbałych, np. w Niemczech, z naszą obojętnością i niewiadomością, to nie zdziwi nas wcale rozmiar plagi w naszych zadrzewieniach. Tam specyaliści od wielu lat badają starannie naturę i obyczaje owadów niszczących, obmyślają przeciw nim rozmaite środki, ostrzegają wcześnie o porze ich lęgu i pojawieniu się w większej liczbie, u nas nikt o tem nie myśli, złego nie zna i nie widzi, a gdy klęska spadnie zbyt dotkliwie, zaczynamy o niej opowiadać jak o żelaznym wilku. Ile razy społeczeństwo nie może samorzutnie wydobyć z siebie strzeżenia własnych interesów, należy je do tego popchnąć siłą prawa. Otóż sądzimy, że obowiązek ciągłego tępienia szkodliwych owadów powinien być nakazany drogą ustawodawczą i obwarowany karami — jak to już zrobiono gdzieindziej. Ażeby pojąć, do jakiego stopnia jest on dziś zaniedbany i nie wszedł jeszcze w zwyczaje ogółu, dość obejrzeć nasze sady. Widzieliśmy ogród *dworski*, w którym literalnie nie można było przejść ulicą lub usiąść na ławce, bo wszystkie wraz z pniami i gałęziami drzew były pokryte warstwą liszek. Cóż dopiero mówić o lasach!

Straż wiejska.

Gdzie ona istnieje i kto ją widział, oprócz na papierze? Folwark trzyma stróża nocnego, każdy włościanin czuwa nad swą zagrodą wraz z psem. Tu i owdzie chłopi wyznaczają kolejno z pomiędzy siebie straż nocną, ale nie dzieje się to ani prawidłowo, ani wszędzie. Czyli innemi słowy—wo wsiach, gdzie zwłaszcza złodziejstwo rozwinęło się do przerażających rozmiarów, wszystko pozostaje na „opiece boskiej.“ Coraz bardziej zmniejszające się bezpieczeństwo mienia i życia po za obrębem miast zaczyna uwidoczniać potrzebę przedsięwzięcia środków zaradczych. W tych dniach władza gubernialna warszawska przesłała do powiatów następujące rozporządzenie:

„1) Polecić wójtom gmin lub pociągnąć bezpośrednio uchylających się od obowiązków straży nocnych do odpowiedzialności sądowej z § 29 ust. o kar. wymierz. przez sędz. pok., albo wymierzać kary na drodze administracyjnej zgodnie z § 219 inst. zarz. gub. Królestwa Polskiego, z tem jednak zastrzeżeniem, aby kary nie były zbyt nizkie i aby ściągano je bezzwłocznie.

2) Wyjaśnić sołtysom, że ich obowiązkiem jest nietylko oznaczenie właściwej kolei straży, ale i dopilnowanie, aby ona spełniała swe obowiązki; nadto trzeba przypomnieć sołtysom, że służy im przewidziane w § 229 inst. zarz. gub. Królestwa Polskiego prawo wymierzania kar pieniężnych na uchylających się od obowiązku stróżów nocnych; gdyby zaś straż ziemska wykryła brak kontroli takiej ze strony sołtysów, wówczas podlegają oni sami karze pieniężnej.

3) Zawiadomienia sołtysów o uchylaniu się od obowiązków stróżów nocnych powinny być zapisywane w księgach straży ziemskiej, a jeżeli sołtys nie umie pisać po rosyjsku, czynności tej powinien dopełnić za niego pisarz gminny.

4) Naczelnicy powiatu i naczelnicy straży ziemskiej podczas objazdów swych powinni sprawdzać w książkach straży ziemskiej, czy wójtowie gmin poczynili stosowne kroki z powodu zawiadomień ze strony sołtysów i strażników o zaniedbywaniu obowiązków straży nocnej i czy wymierzane przez wójtów kary zostały ściągnięte.

5) Zobowiązać wójtów gmin, aby wymierzoną karę zapisywali natychmiast w księdze kontroli, a nie dopiero po ściągnięciu kary.“

Bodajby to pomogło i bodajby gospodarka nocna rabusiów choć w części uległa ograniczeniu! To, co się dziś dzieje, urąga najprostszym zasadom porządku społecznego. Jesteśmy przekonani, że ludność chętnie przyjęłaby nawet osobny ciężar podatkowy, aby w zamian za to otrzymała straż pewną, czujną, nieprzekupną, którąby jej pozwoliła zasypiać bez strachu, że obudzi się ograbioną i bez żadnej nadziei odzyskania straty.

Pretensya.

W kilku dziennikach warszawskich pojawiła się uroczysta apostrofa do p. Fle-

gontowa za to, że w swej księgarni ma na sprzedaż wyłącznie książki rosyjskie, „*za wyjątkiem* czterech polskich, między któremi znajduje się broszurka p. t. *Poeta zdrady.*" Uznano to „co najmniej za nieprzyzwoitość." Zapewne autorowi i roznosicielom tej apostrofy zdawało się, że w niej złożyli dowód wielkiej rycerskości. Tymczasem dość zapytać zdrowego rozsądku, ażeby on z niej wydobył bezmyślną donkiszoteryę. Oprócz towaru, mającego ciągły odbyt (wydawnictwa szkolne, modlitewniki itp.), księgarze trzymają w sklepach tylko swoje nakłady i cudze dane im w komis. P. Flegontow jest księgarzem rosyjskim, więc posiada książki rosyjskie, a z polskich to, które dostał w komis. Co zas ma uczynić, ażeby dogodzić swym krytykom? Zażądać chyba od nakładców polskich, ażeby mu powierzyli do sprzedaży swoje wydawnictwa. Czy tak? A jeśli on nie zechce wystąpić z inicyatywą, to nie pozostaje nic innego, tylko ci nakładcy muszą go o to poprosić. Czy może jest jeszcze trzecie wyjście? My go — „za wyjątkiem" tych dwu — nie widzimy. Gdyby wszakże wolno nam było w tę sprawę wtrącić swoje słówko, to radzilibyśmy szan. orędownikom naszej literatury, ażeby, zanim p. Flegontow zacznie ją sprzedawać, nauczyli się poprawnie pisać po polsku. W tej bowiem swojej pretensyi dziwnie przypominają styl autora *Poety zdrady.*

Po naszemu.

Pełne usta słów, z których ani jedno nie przetopi się w czyn — oto nasza mądrość życiowa. Kiedy Niemcy zaczęli nami tak poniewierać, że obudziliby dumę w najmizerniejszym robaku, zaprzysięgliśmy na wszystkie sakramenty naszej... deklamacyi, że zerwiemy z nimi wszelkie możliwe do przecięcia stosunki. Więc postanowiliśmy nie sprowadzać od nich towarów, zmusić do korespondencyi handlowej po polsku, a już najuroczyściej ślubowaliśmy nie jeździć bez koniecznej potrzeby do niemieckich „badów." Skutek owych przysiąg i ślubów był taki, że sprowadzamy przeważnie towary niemieckie, korespondujemy nawet u siebie po niemiecku, prenumerujemy w ogromnej ilości najnienawistniejsze nam pisma niemieckie i tłoczymy się do niemieckich „badów" tak dalece, że aż tam uznano za stosowne nieco nas poturbować. Tak przynajmniej świadczy *Kuryer warszawski* w korespondencyi z Kołobrzega. Naturalnie trudno nam zdobyć się na współczucie dla kilku pobitych tam młodzieńców z Warszawy; jesteśmy bowiem przekonani, że oni o tej zniewadze wkrótce zapomną albo też zemszczą się za nią w ten sposób, że na przyszły rok pojadą do... Kołobrzega.

O grosz administracyjny.

Słowo wystąpiło ze sprostowaniem i naganą dla naszej notatki o podwyżce pensyi radców Towarzystwa kred. ziemsk. kosztem t. z. „grosza administracyjnego," tj. nowej opłaty, obowiązującej stowarzyszonych w stosunku 1 r. 80 k. od 1,000 r. pożyczki. Wyraża ono przytem żal, że nie czytaliśmy jego artykułu, który wyłożył tę sprawę szczegółowo i z którego dowiedzielibyśmy się, że „przywrócenie grosza administracyjnego *nie ma żadnego związku* z mającem dopiero później nastąpić powiększeniem płacy radców." Wyjaśnienie to przekonywa nas, że jakiś ukryty chochlik narusza *Słowu* zgodę między tem, co ono myśli, a tem, co ono pisze. Ów bowiem artykuł (nr. 148) czytaliśmy i znaleźliśmy w nim taki ustęp: „Co się tyczy urzędników wybieralnych, to jest prezesów dyrekcyj szczegółowych i radców wszystkich władz Towarzystwa, władze naczelne tegoż Towarzystwa, w myśl ponawianych niejednokrotnie w tym względzie wniosków stowarzyszonych, uznały w zasadzie podwyższenie ich wynagrodzenia, w formie pensyi pobieranego, za usprawiedliwione zmianą ogólnych warunków bytu, a spadkiem wartości pieniędzy, i podwyżkę tę oznaczyły w stosunku 25%. Z uwagi przecież, że obecnie w w funduszach, jakimi Towarzystwo rozporządza, podwyżka taka nie znalazłaby odpowiedniego pokrycia, postanowiono wprowadzenie w wykonanie tej podwyżki odroczyć na lat dwa, lub — do czasu, *w którym się fundusz odpowiedni znajdzie*, bez potrzeby wkładania tego ciężaru na barki stowarzyszonych w postaci zwiększonych opłat. Postanowienie to jest *w ścisłym związku* z ostatnią, dla stowarzyszonych mniej pomyślną, ale nieuniknioną uchwałą władz naczelnych Towarzystwa, w myśl której stowarzyszeni, poczynając od raty grudniowej r. b., pociągnięci zostaną do opłacania grosza administracyjnego w stosunku 0,18%, czyli 1 r. 80 k. od każdego 1,000 r. pożyczki." Co więc d. 14 sierpnia było dla *Słowa* „w ścisłym związku," to d. 28 sierpnia „nie ma żadnego związku." Skądże my mogliśmy taki skok logiczny przewidzieć? Wprawdzie dostrzegliśmy zastrzeżenie w artykule *Słowa*, że płaca radców będzie podwyższoną dopiero za lat dwa, kiedy „znajdzie się odpowiedni fundusz," ale trudno nam było zrozumieć ten warunek literalnie i przypuścić, że władze Towarzystwa znajdą np. na ulicy fundusz potrzebny dla podniesienia pensyi radcom. Mniemamy zaś, że porządna instytucya finansowa, z której działań wyłączona jest spekulacya, z dochodów, — niespodziewane zarobki, ma i zna swoje stałe źródła dla pokrywania wydatków i nie może liczyć na „fundusze znajdowane." Ponieważ tedy niektóre pisma (*Kuryer Warszawski* i *Codzienny*) wyraźnie oświadczyły, że grosz administracyjny posłuży do podwyższenia płacy radcom; ponieważ wtajemniczone w zamiary Towarzystwa *Słowo* zaznaczyło, że pomiędzy tymi dwoma faktami istnieje „ścisły związek"; ponieważ grosz administracyjny ma być pobierany przez lat dwa i radcowie otrzymają podwyżkę również po latach dwu, „gdy fundusz odpowiedni się znajdzie," więc chyba mieliśmy dostateczną podstawę twierdzić, że ten grosz częściowo zasili ich kieszenie. Da on 250,000 r. rocznie, można więc z niego na ten cel wziąć 20,350 r. Czy to nie proste i zasadne? O, nie — powiada *Słowo*. „Gdyby *Prawda* chciała (!) była istotną prawdę w tej sprawie napisać, byłaby niewątpliwie zasięgnęła lepszych informacyj." Gdzie? W Towarzystwie? Nie dla nas ta droga. Może ono mieć swoję dumę, ale my mamy swoją. *Prawda* do żadnej instytucyi nie wkrada się po informacye tylną furtką uchylaną z łaski, lecz wchodzi tylko przez naoścież otwarte drzwi dla całej prasy. Towarzystwo kred. ziemskie zamyka przed prasą te drzwi, a wpuszcza faworytów przez furtkę. My do nich ani nie należymy, ani należyć nie chcemy. Sądzimy więc o jego działalności na podstawie doniesień publicznych.

LITERATURA I SZTUKA

LISTY Z PARYŻA.

Dwie rocznice: pięćdziesiąta zgonu Chateaubrianda i setna urodzin znakomitego poety gaskońskiego, Jakóba Jasmina. — Obchody w Saint-Malo i w Agen. — Kilka słów o obu poetach.

Już to obchodów w tym roku nie brakło. Mieli je: Polacy, Czesi, Włosi (Leopardiego i Savonaroli), Portugalczycy (Vasco de Gamy). Miała je Francya i ma obecnie Irlandya.*) Najbardziej może z nich wszystkich kulał obchód Micheletowski. Urzędowy i sztywny, mało kogo obchodził. Szczery kult Micheleta w dzisiejszych czasach sobkostwa, zniewieściałości i pochylenia się moralnego Francyi jest czemś, co trudno sobie przedstawić. Jakoż owego szeregu mów, wypowiedzianych przez rektorów, burmistrzów i posłów w rozmaitych miastach, nie można brać za nic innego, jak za szopkę i za czyn obłudy.

Natomiast wolnymi od banalności były dwa obchody z przed kilku dni: wędrówka zbiorowa do grobu Chateaubrianda w okolicy Saint-Malo w Bretanii i zjazd Gaskończyków do miasteczka Agen, gdzie sto lat temu urodził się najcelniejszy poeta języka gaskońskiego, Jakób Jasmin.

W bliskości Saint-Malo, na skalistej wysepce, Grand-Bé, wznosi się grób Chateaubrianda. Wielka płyta granitowa nakrywa go, na niej mały krzyż żelazny, wokoło niej sztachety. Ani napisu, ani imienia, ani daty.

W chwilach odpływu morskiego, pasem mokrego piasku, okrytego wyrzuconemi muszlami, można z miasteczka dostać się na mogiłę poety. Ale zaledwie fale przypływu poruszą się lub kiedy burza zahuczy nad brzegami, Grand-Bé oddziela się od lądu i samotny wśród morza śpi grób „René'go." Tylko mewa na nim siada lub czarny kormoran, albo też gromy wszczynają z nim rozmowę.

Mieszkanie pośmiertne Jasmina leży w mieście południowem, gdzie niebo prawie cały rok jasne, i gdzie słońce praży często, jak hiszpańskie. Tu na cmentarzu kwitną róże, jaśminy, migdały, a w powietrzu ptactwo nuci hymny.

Pobudkę do obchodzenia rocznicy zgonu Chateaubrianda dało „Towarzystwo bibliofilów bretońskich," którego główną siedzibą jest miasto Mantes. Ogromne tłumy napłynęły do Saint-Malo i obchód wypadł bardzo pięknie. Jasmina czci cała Gaskonia, jako męża, który uświetnił jej ziemię i dokonał z powodzeniem próby przetworzenia jej narzecza na język prawdziwie literacki. Uroczystości trwały tu jeszcze dłużej, dnia szóstego i siódmego sierpnia były wypełnione rozmaitemi częściami programu. Zasypano dosłownie kwiatami posąg i dom poety, śpiewano jego wiersze, deklamowano poezye ułożone na jego cześć, urządzono zabawy kwiatowe, jak ongi za czasów niezależności gaskońskiej, dano w teatrze uroczyste przedstawienie, wyprawiono zabawę ludowi. Szkoda, że nie było tam nikogo z krakowskiego komitetu Mickiewiczowskiego, aby widział, jak rozwijają się gdzieindziej starania o wygodę przybyszów i o nadanie blasku obchodowi poety narodowego.

Naturalnie, że żaden mówca nie był przy karabeli i przy — parasolu.

Żywotu Chateaubrianda kreślić nie będę, przypomnę chyba kilka najważniejszych dat. Urodzony w Bretanii przy Saint-Malo w r. 1768 z rodziny szlacheckiej, wstępuje w 1787 jako podoficer do wojska francuskiego, odbywa w 1791 podróż do Ameryki północnej, wraca w rok później do Europy, zaciąga się do wojsk Kondeusza, ranny leczy się w Anglii, gdzie zostaje przez kilka lat. Przybywa wreszcie do Paryża. W roku 1801 „Atala," w 1801 „Geniusz chrześcianizmu" zwracają nań powszechną uwagę. Napoleon uważa go za jeden z filarów swego rządu, lecz w r. 1805 po rozstrzelaniu Enghiena Chateaubriand odrzuca wszystkie jego zaszczyty. Za Burbonów sprawuje wysokie godności, jest ambasadorem w Berlinie, Londynie, Rzymie, w r. 1824 przecho-

*) Obchodzi pamięć wyprawy francuskiej do Irlandyi. Rys jej podałem w jednym z poprzednich „Listów z Paryża."

dzi jednak do opozycyi. Ostatecznie poświęca się wyłącznie życiu literackiemu. W 1826 urządza zbiorowe wydanie swych dzieł i dostaje za nie pół miliona franków. Umiera czwartego lipca 1848.

Znaczenie jego, że tak powiem polityczne, w literaturze dziewiętnastego wieku określił udatnie Brandes w pierwszym i trzecim tomie „Głównych prądów.“ Ale jeśli ogromną część powodzenia twórca „Renégo“ zawdzięczał swoim przekonaniom, to jednak i pod względem artystycznym zapisał się on w Panteonie literatury niezatartemi zgłoskami. Był czas, gdy Francuzi zwali go największym z żyjących pisarzy Europy — zdanie niewątpliwie przesadne, stanowczo jednak należy on do najznakomitszych w naszem stuleciu.

„Atala“ ujawniła w nim duszę poety niezwykle wrażliwego na piękno przyrody. Czułostkowy, napuszysty dyalog, reminiscencye z Waltera Scota, których, zdaje mi się, dotąd jeszcze Francuzi dostatecznie nie wyróżnili, ton wreszcie przesadnie prawowierny rażą dzisiejszego czytelnika w ciągu opowieści. Ale usunąwszy tę miazgę, weźmy tylko łupinę krajobrazową. Co tu za mistrzostwo, co za poezya!

Gdziekolwiek szło o patrzenie na przyrodę, o wchłonięcie w siebie wrażeń, jakich ona nam dostarcza, tam Chateaubriand objawiał moc potężną. Drobniuchny jego opis, ulotna zapiska podróżna zdradzają geniusz. Bez opisów też nie mogą obyć się jego dzieła, i złociście od nich na wielu jego stronicach.

Ogłoszony w pięć lat później „René“ jest jednym z najznakomitszych utworów „psychologicznych.“ Okazuje się, że autor, który widział tak jasno kształty i barwy w dziedzinie natury, posiadał zarazem wzrok dostatecznie bystry, aby spostrzedz wszystkie zakątki, chodniki i ukrycia w podziemiu duszy człowieka. Powieść „René“ (ażeby miłość bohatera dla siostry rozdąć do rażących kształtów, potrzeba było na to ściśle francuskiej krytyki literackiej) jest książką historyczną: zawiera ona typ młodzieńca z okresu na przełomie ubiegłego i teraźniejszego wieku; ale zarazem będzie ona zawsze brewiarzem dla tych, co rodzą się, aby być wciąż samotnymi, aby mieć serce gorące, tęskne, łaknące miłości i umierać, nigdy jej nie znalazłszy.

Udając się na Wschód (1806), Chateaubriand zwiedził Hiszpanię i na jej tle wkrótce potem nakreślił „Przygody ostatniego z Abencerragów.“ Ogłosił je aż w r. 1826, miał bowiem zwyczaj trzymać swoje utwory długo w biurku, jak gdyby chciał się przekonać, czy są istotnie z drogiego kruszcu i czy w znaczniejszym przeciągu czasu nie okryją się rdzą. Nowy utwór był również cackiem artystycznem. Wśród kwitnących ogrodów Andaluzyi poeta zamknął sielankę pełną uroku. Tym razem wprowadził w ruch postacie, które odgadywał tylko intuicyą: Maurytanina, który żyje wnet po upadku Grenady, Hiszpankę z owych czasów, francuskiego rycerza. Odtworzył je jednak bardzo szczęśliwie i poetyczność, moc charakterów, polot, wreszcie właściwa Chateaubriandowi smętność, czynią to opowiadanie jedną z pereł literatury francuskiej.

Trzy więc najbardziej dziś czytywane dzieła odsłaniają coraz to nowe strony jego wielkiego talentu. Miłośnicy poezyi i ci, co lubią obcować z wielkimi umysłami, znajdą, choćby nie zgadzali się z wywodami autora i w „Geniuszu chrześciaństwa“ i w „Próbie o naturze rewolucyi“ i w „Vathozach“ i w „Podróży na Wschód,“ jako też w tylu innych dziełach prawdziwe bogactwa. Jakimi zaś tęgimi rysami, z jaką dokładnością, przenikliwością i poezyą kreśli on niejeden epizod ze swego życia i niejedną sylwetkę w swych pamiętnikach, zatytułowanych „Mémoires d'outre tombe“!

Ogromny wpływ wywarł Chateaubriand jako stylista. Można powiedzieć, że nowoczesny styl francuski datuje się od niego. Co Rousseau, Buffon i Bernardin de Saint Pierre zaczęli, tego on dokończył. Język francuski odęty przedtem napuszystością i dworskością, pozbawiony uroku i cieniowań przez w. XVII i w znacznej części XVIII, on uzdrowił, przystroił, uczynił giętkim, prostym i niemal melodyjnym. Niejedno zdanie w dziełach Chateaubrianda jest wprost śpiewne. On także suchy ugór stylu przedrewolucyjnego obsiał dzikiemi różami wyobraźni.

Od niego datuje się we Francyi ów szereg złotoustych, których słowa samo, powiązane w harmonijne zdania, oczarowują. Od niego pochodzi J. J. Ampère i Augustyn Thiéry, od niego Flaubert, od niego Lamennais, Lamartine i stylistycznie z ostatnim spokrewniony Renan. Dziś znowu na nim kształcą się zdolniejsi młodzi prozaicy.

I jako człowiek przedstawia on wiele dla myśliciela. Był to mąż niezwyczajny. Pod pozorami obojętności kryła się w nim rycerskość, dzielność, zajęcie tajemniczymi losami ludzkości i świata. Stare społeczeństwo go nudzi, jedzie do Ameryki szukać przygód i przyrody. Ulotne pismo, które znajduje przypadkiem w chacie osadnika i które — wbrew stosowanemu podczas podróży zwyczajowi — przegląda, mówi mu o niebezpieczeństwie, w jakiem znajdują się jego jednomyślnicy. Rzuca wszystko i z za oceanu przynosi ku ich obronie swoje życie. Doświadcza względów Napoleona, ale nie dla nich, lecz z przekonania napisał „Geniusz chrześcianizmu.“ Gdy po zamordowaniu Enghiena wszystko milczy, on jeden, ulubieniec, nie waha się odrzucić ze wzgardą udzielone mu przez wiarołomnego Korsykanina odznaczenie. Uratował tym krokiem — mówi G. Geffroy — honor literatów francuskich.

Zupełnie odmiennie od tego życia, w którem niejeden wydarzył się dramat, ułożyło się życie Jakóba Jasmina. Między dwoma żywotami istnieje ta sama różnica, co między położeniem mogił dwóch poetów.

Jakób Jasmin, właściwie Boé, był człowiekiem prostym, naiwnym, wolnym od wewnętrznych burz i rozterek, od wszelkich gwałtownych pragnień. Z zawodu fryzyer, nabiedził się, nim doszedł do spokojnego kawałka chleba, ale posiadłszy go, uznał wszystkie życzenia za spełnione i jak jaskółka jego ojczystej Gaskonii świegotał wesoło i karmił swe dzieci.

Urodził się w mieście Agen 1798 roku. W domu doznał nędzy: ojciec, garbaty krawiec, ledwie był w stanie wyżywić swą rodzinę. W „Mous Soubenirs“ (Moje wspomnienia) poeta opowiada niejeden smutny epizod ze swego dzieciństwa: śmierć dziadka w szpitalu, skąpą wieczerzę za zastawiony przez matkę pierścień ślubny. Uczył się dobrze i rodzina marzyła o zrobieniu zeń księdza. Jakoż umieszczono go w seminaryum, ale za jakąś drobnostkę Jakóbek wyleciał. Poszedł więc na naukę do fryzyera, wyzwolił się i nie licząc dwudziestu lat, ożenił się.

Od dzieciństwa układał wiersze i czytał, co się zdarzyło. W r. 1822 udała mu się najlepiej śpiewka „Me cal mouri“ (Muszę umrzeć). Był to wylew rozpaczy młodzieńca po śmierci kochanki. Obleciała ona szybko Agen i skierowała na Jakoba oczy mieszczan.

Zachęcony tem, wystąpił w r. 1825 z poematem humorystycznym „Loon Chalibary.“ Ten, jako też później napisane ody „Trzeci maja“ i inne na cześć Henryka IV, ułożone z powodu wzniesienia pomnika temuż w Nérac, wyrobiły mu rozgłośne imię. Jasmin wpadł nareszcie na pomysł objeścia pieszo Gaskonii, deklamowania i śpiewania w różnych miejscach swoich piosnek i wierszy. I tu spotkało go powodzenie.

Rosło ono z każdym rokiem. W r. 1835 wydał pierwszy tom swoich wierszy p. t. „Papiloty“ (Les Papilhotos). Od 1836 r. przerzucił się — zawsze z pokloskiem — do poezyi opowiadającej i dał kolejno poematy: „Ślepą z Castel Cullie,“ „Frania,“ „Obłąkana karta,“ „Bracia bliźnięta,“ „Tydzień syna.“

Od 1840 fryzyerstwo prawie zarzucił, a że wiersze jego sprzedawały się nieźle, przestał nawet z deklamacyj brać pieniądze dla siebie, przeznaczając je natomiast na cele dobroczynne. Objeżdżał w dalszym ciągu Francyę i zebrał w swojem życiu we wspomniany sposób więcej niż półtora miliona franków na biednych. Zresztą stał się znakomitością. Krytyka francuska postawiła go jednogłośnie w rzędzie najlepszych poetów francuskich, lud wyprawiał mu owacye niebywałe, ministrowie zapraszali go do siebie na wieczory literackie. Otrzymał krzyż legii honorowej i pensyę, która zabezpieczyła mu byt. Golił jednak brody i obcinał włosy, gdy wrócił do Agen ze swych tryumfalnych podróży. Nareszcie w r. 1851 Akademia francuska dała mu 5,000 franków nadzwyczajnej nagrody, a w pięć lat później uwieńczyło go uroczyście jego miasto. Zmarł tu w r. 1864.

Jego talent i cechy poezyi mają się tak do Chateaubrianda, jak ma się do góry, której szczyty haftują błyskawice, szereg łagodnych wzgórz, zasadzonych winogradem. Język gaskoński jest językiem ludu, więc tematy, skoro miały przemówić temu ludowi do duszy, musiały być proste i swojskie. Jakoż pięć wyliczonych wyżej poematów dotyczy życia wiejskiego. Były to czasy pani Sand i Auerbacha, w tym też duchu są i one. Obecnie, kiedy powieść sielska chętnie czerpie poglądy na życie wieśniaka z „Ziemi“ Zoli, nie mógłby on wywołać tego entuzyazmu, co niegdyś.

Treść wszystkich jest potrosze mdła. Ze strony melodramatycznej pojęta miłość, poświęcenie dla obowiązku, nadto postacie niewinne, sielankowe i przeważnie do siebie podobne. Ale „François le Champi,“ albo „Lamare du diable“ są jeszcze bardziej blade i słodkawe. Znajdują się tu zresztą ustępy bardzo udatne, pełne poezyi lub serdeczności, a forma jest świetna. Poeta włada swoim językiem doskonale, wiersz zależnie od uczucia, jakie oddaje, lub od nastroju zmienia się nieustannie, zawsze piękny, wykończony, doskonały.

Zupełne wydanie poezyj Jasmina (najlepsze wyszło w 1889 w Paryżu i w Bordeaux przejrzane przez Boyer d'Agena) obejmuje cztery tomy: pierwszy, o którym właśnie mówiłem, drugi z satyrami, trzeci z odami i listami, czwarty z piosnkami. „Satyry“ są raczej obrazkami wiejskimi, jedna z nich, „Miasto i wieś,“ przeciwstawia tryb życia wiejski miejskiemu, druga, „Moja winnica“ (Ma bigno), godna Horacego, zawiera Horacyuszowską pochwałę ustronia z gronem przyjaciół.

Ody, listy i pieśni liczą niejedno, co wartoby i naszej literaturze przyswoić. Składają one świadectwo, jak gorącym miłośnikiem wolności był poeta Gaskonii. Jest wśród nich i oda „As (de) debris de la natiün polonezo“ i miluchna, rzewna piosnka „Wędrowne ptaki“ (Lous aüzels büyat jurs), ułożona w r. 1843 przy sposobności bankietu, urządzonego przez gwardyę narodową w Agen na cześć ówczesnych wychodźców.

W. Bugiel.

PRZEGLĄD TEATRALNY

BYĆ ALBO NIE BYĆ.

(Garść uwag o teatrzykach letnich).

II.

„Lygia" Barreta, jak ostatecznie przedstawienia potwierdziły zapowiedzi afiszowe p. Wołowskiego, jest osnuta na powieści Sienkiewicza „Quo vadis." Sztuka ta wywarła na nas dziwne wrażenie. Aż nadto były nam widoczne słabe jej strony — a jednak — oby częściej łzy zaciemniały nam podobne błędy i usterki. Jeżeli chodzi o talent, o artyzm, o polot, to „Lygii" Barreta nawet zestawiać niepodobna z powieścią Sienkiewicza. Mimo to gorąco w obronie tego szeregu scenicznych obrazów stawać będziemy, bo wzniecają one w piersiach słuchaczów uczucia szlachetne, budzą cześć dla charakterów i ludzi idei. Zestawmy np. nastrój słuchacza, powracającego z „Gejszy," lub „Żonatego kawalera," z nastrojem, kiedy wraca z przedstawienia „Lygii." Egoizm, brutalność, bezwzględność, lubieżność i farsa mają dziś po całym świecie rozstawione mównice. Szlachetność natomiast została w Europie publicznie wyśmianą. Jest ona kopciuszkiem wieku, a raczej jego schyłku. Lecz kopciuszek ten wie, że tak ciągle być nie może. Szuka tedy wciąż lepszych i czystszych serc, zakrada się do literatury, wchodzi nawet do takiej zbitej z desek budy, by stawać i przemawiać przed tłumami, wierzącymi w jej dziejowe posłannictwo. Sztuka zaczyna wielkiemi krokami zawracać ku porzuconym redutom ideału, a ludzkość rozumieć, że jej za wałami tych redut było bezpieczniej.

Gdyby p. Wołowski działał w warunkach, już nie powiem: lepszych, ale bodaj: nie tak złych, gdyby mieszkańcy Łodzi zechcieli jeno bywać częściej w jego teatrzyku, mógłby on taką „Lygię" wystawić bez porównania artystyczniej. W pierwszym akcie Marek deklamował jak zwyczajny kolendnik, poruszał się na scenie jak kochanek komedyi francuskiej. W końcowych obrazach zaszła znaczna pod tym względem zmiana na korzyść, a publiczność, która przecież patrzy w Rozmaitościach na pierwszorzędne siły aktorskie, darzyła go kwiatami.

Wypada nam wreszcie zaznaczyć, iż w historyi naszych „sław" zaszedł wypadek nadzwyczajny. W zasadzie nikt u nas nie mógł być wielkim bez stempla uznania zagranicznego. Tym razem stało się odwrotnie. Utwór Anglika zareklamowano stemplem autorytetu miejscowego. O ile sobie przypominamy—jest to pierwszy wypadek.

Gdyby wartość każdego utworu mierzyć łokciem sensacyi, to wypadałoby zaliczyć „Firułkesa" Zapolskiej do kategoryi pierwszorzędnych arcydzieł. Przypuszczam, że imię autorki odbija się w tej chwili jak piłka o domy Nalewek, Gęsiej i Dzikiej z przyległościami. Jakto?!—wołają może idealiści w chałatach—to Warszawa zajmuje się nami w ten sposób? Spędziła za kulisy wytworne margrabiny, hrabiów francuskich, rezonerów płytkich jak talerz, stare ciotki, wujaszków z Ameryki, podlotki, zdrady małżeńskie— a natomiast wypuściła na scenę tłum chałaciarzy, których toczy nędza, robactwo, szachrajstwo, wzgarda ludzka, a przedewszystkiem wielka, wielka niedola?? Co my nędzarze na tej scenie robimy? Co tam z nas zrobiono? I zdąża, kto może, patrzy, słucha, pochłania sztukę, wytrzeszcza oczy z podziwu, mimo hałasu ogródkowego zapomina, że to życie, życie bujne a okropne, na jakie codzień patrzy, jakie czarną rzeką chałatów toczy się ulicami wszystkich miasteczek i miast galicyjskich, a u nas niezrozumiałym szwargotem huczy śród najpotężniejszej dzielnicy. W czasie przedstawienia zachowuje się nerwowo, żywymi oklaskami podkreśla tendencye sztuki. Ale co myśli, co czuje i co mówi, powróciwszy z przedstawienia? Oj wartoby, warto przywdziać jakąś czapkę-niewidymkę, iść tam i wsłuchać się w rozmowy, spory, wybuchy optymizmu i rezonowania „praktycznych." Jojne Firułkes — to odszczepieniec, to Apokojres! Rabbi Jeszua ciągle rodzi się w tem społeczeństwie i ciągle Upharsin miotają na niego kamieniami oburzenia. Nieszczęsne społeczeństwo!

Utwór Zapolskiej pod względem myślowym, etycznym i obyczajowym stoi na wysokości zadania. Sztuka powinna iść ręka w rękę z życiem, a to „ręka w rękę" znaczy, iż w jej wspaniale rżniętym zwierciadle kryształowem powinny się odbijać wszystkie aspiracye, wszystkie porywy, cały ów praludzki prometeizm i to właśnie na tle swej antytezy, na tle sobkostwa, egoizmu, zwyrodnienia, spaczenia. Walka dzielnej jednostki ze znieprawionem społeczeństwem jest i będzie najdramatyczniejszym tematem dla mistrzów słowa, bo mimo wszelkich mdłych teoryjek o „sztuce dla sztuki," czyli jakiegoś hermafrodytyzmu artystycznego, wielcy twórcy tworzyć będą zawsze „dla ludzi," jeżeli nie dzisiejszych, to dla takich, którzy ich zrozumieją i myśl ich resztę wyłożą. Takie pojęcie zadania sztuki zyskuje dziś obrońców w szeregu najpoważniejszych estetyków, że wymienimy jednego Guyau, przytaczając jego zdanie, iż najdoskonalsze i najwznioślejsze wzruszenie estetyczne jest wzruszeniem charakteru społecznego, że sztuka, zachowując niezależność własną, z samej istoty swojej wiąże się w ten sposób z etyką i prawdziwą religią. Na tych fundamentach dźwignął Gerhart Hauptman gmachy swoich dramatów.

„Firułkes" jest raczej malowidłem dramatycznem, niż dramatem w ściśłem jego pojęciu. Nie posiada on błędów „Małki Szwarcenkopf," ale brak mu za to także i jej spoistości. Oba utwory, bardzo uczciwe w pomyśle, z niepospolitą brawurą naszkicowane i namalowane, należą bądź co bądź, jeżeli się na nie spojrzy, jak mówi Dubois-Reymond, z „arystotelicznego punktu widzenia," do kategoryi efemeryd. Jakże słabnie wrażenie za drugiem, trzeciem, dziesiątem przedstawieniem! Dzieła obliczone na dalszą metę działania, zrastają się z nami powoli, ale stale, aż zrosną się zupełnie i staną cząstką nas samych. Efemerydy odwrotnie. W pierwszej chwili porywają, oszołomiają, wywierają wrażenie rzeczy wielkich, ale przeżywają się nad wyraz prędko. Widać tu rękę kobiety, która umie olśnić, podbić nas jednym zamachem pióra, nie umiejąc nas jednak utrzymać w jasyrze, który jest z początku miły jak harem, ale po pewnym czasie staje się ckliwym jak harem. Nie wiemy doprawdy, czy źródłem tego sposobu tworzenia jest organizacya duchowa Zapolskiej, czy też tylko pospieszna robota literacka, wywierająca częściej wrażenie improwizacyi, niż kompozycyi. Nieraz zdaje się, że gdyby autorka pięć minut zechciała nad jakąś sceną pomyśleć, to zdołałaby kilku rzutami korektorskiego ołówka usunąć rażące usterki i nadać właściwy wyraz dramatyczny ustępom skreślonym sentymentalnie. Należałoby się to zwłaszcza „Małce." „Firułkes" jest pod tym względem sztuką staranniej napisaną. Ale sprawiedliwość każe wyznać, że wobec dzisiejszego szablonowego i zmanierowanego kierunku piśmiennictwa scenicznego, utwór Zapolskiej, aczkolwiek wybujały i rozbujały, aczkolwiek nieposiadający należytej miary artystycznej, stanowi jednak istotnie coś nowego, niepowszedniego, czemu przyklasnąć należy.

„Samotni" Hauptmana zasługują na oddzielne studyum. Sam tytuł sztuki wart osobnego rozdziału. Któż u nas nie jest samotnym? Jest to straszna tragedya człowieka myślącego i czującego, który w swoim własnym domu, w swojem własnem społeczeństwie, stanowi jakąś myślową i czuciową naleciałość. Jeżeli jednak śród takiej „samotności" rośnie charakter, siła duchowo jednolita, to zmoże ona z czasem opór środowiska; biada wszelako samotnemu osobnikowi, jeżeli jest ludzkim okrętem o strzaskanym sterze charakteru. Skazany będzie na męczarnie, o których nawet Inkwizycya pojęcia nie miała. W księdze naszych legend ludowych mamy takiego samotnika w postaci Twardowskiego, który ucieka przed collegium, przed społeczeństwem i własną żoną między skały Krzemionek. Podanie wykrzywiło ordynarnie duchowe oblicze tego dziwnego samotnika, jednakowoż nie na tyle, byśmy w nim prototypu samotnych naszego kraju poznać nie mogli. Zawieszony na wieki pomiędzy niebem a ziemią, spogląda na świat w czasie pełni z bolesną ironią człowieka niezrozumiałego. I dotąd pozostaje on niezrozumiałym nawet — przez własnych swoich piewców!

Nie chodzi nam w tej chwili o analizę tego arcydzieła Hauptmanowskiego. Lepiej dać utwór ten czytelnikowi do ręki, aby się z nim zapoznał. Potem dopiero wywody nasze mogłyby mieć dla niego pewną wartość. Dzieło to ukazało się w ogródku, wykonano je siłami prowincyonalnemi, zbyt mało estetycznie ucywilizowanemi nietylko do odtworzenia podobnego utworu, ale przedewszystkiem do jego zrozumienia. Tym siłom prowincyonalnym przypadł i tak duży zaszczyt inicyatywy. Do nich istotnie stosuje się w tym wypadku maksyma: in magnis *voluisse sat est*.

Andrzej Niemojewski.

NOTATKI LITERACKIE I ARTYSTYCZNE

POWIEŚCI. Stańko: „W złocie" (30 str.) Dubowski.

— J. Dunin-Karwicki: „Ze starego autoramentu," typy i obrazki wołyńskie (279 str.), Dubowski.

POEZYE. W. Zalewski: „Dla niej" (20 str.) Dubowski.

— Aldona: „Pieśni kobiety" (48 str.), Dubowski.

NAUKI. W. Biernacki: „Nowe dziedziny widma," z przedmową J. Ochorowicza *(Bibl. dzieł wybor.)* (144 str.)

— Dr. L. Kadler: „O środkach ochronnych od chorób wenerycznych (135 str.), Dubowski.

— „Warszawskie miejskie laboratoryum mechaniczne do próbowania materyałów budowlanych i technicznych," sprawozdanie i objaśnienie.

— P. Wagner: „Doświadczenia nawozowe w polu," streścił dr. A. Sempołowski (29 str.).

— M. Ostrogórski: „Kobieta a prawo publiczne," studyum z historyi i ustawodawstwa porównawczego, przeł. z francuskiego Z. Poznański (188 str.).

PEDAGOGIKA. M. Rej: „Zwierciadło," podług wyd. I wydał S. Adalberg z. 1. (1 rb. 50 kop.)

DLA LUDU. Kl. Junosza: — „Pan Gamajda" czyli wybory na Wójta (36 str.), Wizbek.

— T. Jadwiga: „Doczekali" (104 str.), Wizbek.

HISTORYA. Kazimierz Pułaski: „Szkice i poszukiwania historyczne" Serya druga, Petersburg 1898, nakładem księgarni Grendyszyńskiego. Serya ta zawiera materyały archiwalne i opracowania źródłowe treści rozmaitej: „Z pamiętników konfederata barskiego" — Korespondencye Michała Jerzego Mniszcha z lat 1783—1790 r., Szlachta podolska w czasie zaboru tureckiego 1672—1699, Machmet-Girej, chan tatarów perekopskich i stosunki jego z Polską.

ENCYKLOPEDYA Orgelbranda z. 44.

ALBUM bijograficzne zasłużonych Polaków i Polek wieku XIX, z. 4.

UPOMINEK JUBILEUSZOWY. M. Synoradzki: „Adam Miczkiewicz" (32 str.), Dubowski.

POEZYE. B. Butrymowicz „Za słońcem" (182 str.).

POEZYE

Z cyklu „Pastele."

ZMIERZCH.

Cicho... niech żaden szmer nie leci ponad ziemią
I niech
Śpiących nie budzi ech,
W borach, co drzemią.

Już siwowłosy
Mech,
W piersiach wstrzymuje dech,
Patrząc w niebiosy.

A one ciszy leją toń,
Na błoń,
Na senne bory.
I księżyc blady, chory,
Skład skroń
Na wonne pokosy.

IRIS.

Bezmyślny, wiecznie z siebie rad,
Z mgieł płaszczu, płaszcza zrudziałego
Na czole irisu białego
Zimny księżyc zimne dłonie kładł.

Od pieszczot świateł i cieni
Smutny uchylał się świat,
I drżał i bladł,
W mgle promieni.

Już zasnął świat,
Lecz w ciszę,
Pełną omdlenia,
Lecą łzy i westchnienia.
Na drżącej łodydze wiatr irisu biały kwiat
Kwiat irisu płaczący kołysze.

WIECZÓR.

Już tęczę z ros po sennej rozsiał roli
Blady księżyca blask.—Ukrywszy w dłonie lica,
Nadpływa anioł snu w księżyca
Aureoli.
...I powoli
Sinawe wstają mgły, zasypia stary bór
I nocy pieśń Eoli nuci chór,
Chór Eoli.

Już na narady,
W gromady,
Mgliste się schodzą Dryady.
Na stronach leśnych harf melodja się kołysze.
I zasłuchany w ciszę,
Drżące swe światło kładzie księżyc blady.

PIOSENKA.

Spłynęła z strun, spłynęła drżąca i biała,
Jak senne spłynęła marzenie,
I przez księżyca promienie
Leciała.

Dziwnej jasności
Z mgieł i księżyca noc woale tkała...
A ona drżąca i biała, szeptała...
Słowa miłości.

I zadzwoniły dzwonki liliowe
Kroplami rosy
I dyamentami zapłonęły wrzosy
Zbudziły się baśnie tęczowe...

A ona w blaskach płynęła miesiąca
I jasna, i biała, i drżąca.

Maryan Tatarkiewicz.

W DALI.

Radom. Rząd gubernialny radomski opracował i przedstawił do zatwierdzenia władzy wyższej projekt pomocy lekarskiej na wsi. Dziś cała gubernia posiada 63 lekarzy i 211 miejsc w szpitalach cywilnych, a więc jeden lekarz wypada na 13,023 mieszkańców, a jedno łóżko w szpitalu na 3,380 ludzi. Ze względu na taki stan smutny, nowa organizacya jest bardzo pożądana Ponieważ lud wogóle żywi niechęć do szpitali, więc autorowie projektu przyszli do przekonania, że najlepszym systemem tej pomocy będzie „stacyjny," polegający na podziale całej guberuii na okręgi z miejscem zamieszkania lekarza w środku i z udzielaniem pomocy chorym przychodzącym; dla chorych zaś, których stan jest niebezpieczny lub wymagający natychmiastowej pomocy chirurgicznej, urządzone będą lecznice na 3 łóżka. Kuracya i lekarstwa mają być udzielane bezpłatnie. Do pomocy lekarz posiadać będzie felczera i akuszerkę. System stacyjny, ambulatoryjny, ma jeszcze tę dobrą stronę, że rozpowszechni prawidłowe pojęcie o istocie chorób i sposobie ich leczenia. Na wypadek, gdyby liczba miejsc w lecznicy okazała się za małą, może ona być powiększoną, na co przewiduje się ogólny wydatek w kwocie 1,000 rubli rocznie. Oznaczając pensyę lekarza na 700 rb. rocznie, felczera na 250 rb., akuszerki na 230 rb., utrzymanie lecznicy 1,080 rb., dodatkowe wynagrodzenie inspektora lekarskiego 300 rb., wydatki kancelaryjne 100 rb. i na powiększenie liczby łóżek w lecznicach 1,000 rb., otrzymamy ogólną sumę 42,080 rb. rocznie, ponieważ gub. Radomska ma być podzielona na 18 okręgów lekarskich, obejmujących 15—20 wiorst w promieniu z ludnością 25—30 tysięcy mieszkańców. Wydatek wykazany będzie tylko o 2,773 rb. wyższy od ponoszonego obecnie na dział lekarski gubernialny. Jeżeli do tej sumy dodamy projektowane 5,580 rb. na utrzymanie schronienia dla chorych umysłowo, chronicznie i nieuleczalnych, które ma być założone w odległości 6 wiorst od Radomia, przy szosie kozienickiej, to roczny podatek, opłacany przez każdego mieszkańca na powszechną pomoc lekarską wyniesie trochę więcej, niż 5 i pół kop. od osoby. Obowiązki lekarza będą polegały na udzielaniu bezpłatnej porady codziennie w godzinach oznaczonych w miejscu jego zamieszkania, z którego wyjechać może tylko w wypadkach nadzwyczajnych, np. w razie epidemii, do bardzo chorego itp. Nadto lekarz mieć będzie nadzór nad lecznicą, felczerem i akuszerką. Felczer pomagać ma doktorowi, przyrządzać pod jego kierunkiem lekarstwa i spełniać wszelkie zabiegi lecznicze przy kuracyi. Akuszerka udzielać będzie pomocy w zakresie swojej specyalności w mieszkaniach u chorych na wsi.

Astrachań. *Kuryer niedzielny* podał garść ciekawych wiadomości o Polakach w Astrachaniu: Przy kościele miejscowym jest schronienie dla starców; niezależnie od tego obecny proboszcz, ks. Leon Kozłowski i miejscowi Polacy rozpoczęli starania o założenie Towarzystwa dobroczynności, a przy niem szkółki. Parafianie są przeważnie Polacy i Ormianie, większość jednak jest tych pierwszych, którzy w znacznej liczbie napłynęli do Astrachania przed 35 laty i utworzyli obecnie w drugiem pokoleniu całą kolonię. Pierwszą Polką, która się tu znalazła, była bezwątpienia Marya Mniszchówna, żona samozwańca Dymitra, po którego śmierci przybyła w r. 1614 do Astrachania z atamanem Kozaków, Zaruckim. W obrębie dawnej fortecy, którą Zarucki wówczas opanował, jest przechowywaną jako pamiątka po niej, opończa bogato złotem i srebrem wyszywana. Obecnie miejscowe koło polskie składa się z kilkuset członków, zajmujących najrozmaitsze stanowiska, jako to: lekarzy, prawników, kupców, urzędników, aptekarzy itd. Prawie wszystkim powodzi się doskonale: lekarze cieszą się niezłą praktyką, a z pośród nich największą wziętość posiada dr. Bujko; kupcy są posiadaczami pierwszorzędnych firm, jak pp. Arkuszewski i Trembiński; apteka p. Piaseckiego jest znaną w całem mieście, a zakład fotograficzny p. Klimaszewskiej jest jednym z najpierwszych. Wogóle Polacy na rozmaitych stanowiskach zdołali zająć pierwsze miejsce. Sympatyczną cechą jest łączność i solidarność, bez względu na różnicę zajmowanych stanowisk. Wszyscy wiedzą o sobie, znają się dobrze, stanowią jedno koło towarzyskie. Życie towarzyskie polega na t. zw. „kolejkach," tj. zebraniach, urządzanych co tydzień po kolei przez domy polskie. Zabawa jednak na tych wieczorach nie jest zbyt ożywioną, co daje się tłomaczyć brakiem młodzieży obojej płci i jakąś ciężką atmosferą, która zwykle panuje na tak oddalonych od centrów życia punktach. Do miłego a pożytecznego spędzenia czasu wielce się przyczynia dość bogaty oddział polskich książek przy bibliotece resursy miejscowej, której członkami jest wielu Polaków. Starano się też urządzić teatr amatorski, lecz wszelkie usiłowania w tym celu podjęte spełzły na niczem i pomimo kilku odbytych prób, przedstawienie nie przyszło do skutku.

KRONIKA.

Wiadomości społeczne. Według obliczenia spisu jednodniowego w r. z., całe państwo rosyjskie posiada około 7,800 osób, wyłącznie pracujących w dziennikarstwie.

— W celu ukrócenia wszelkiego rodzaju zbrodni i rabunków w okolicach podmiejskich, władza postanowiła znacznie rozwinąć obławy i pościgi nocne. Dotąd były one dokonywane przez straż ziemską, w niektórych wypadkach z udziałem policyi warszawskiej. Nadal zaś będzie powoływane i wojsko, które formować ma łańcuchy i urządzać obławy.

Szkoły. W Petersburgu powstaje szkoła brandmajstrów, której zadaniem będzie przygotowanie odpowiednich naczelników dla straży rządowych, miejskich i innych, a zarazem instruktorów do tworzenia oddziałów straży.

— Warszawska szkoła realna w nadchodzącym roku szkolnym otwiera oddział równoległy w klasie VII dodatkowej.

— W połowie b. m. rozpoczną się wykłady w politechnice warszawskiej.

— Ministeryum rolnictwa, przychylając się do wielu podań, uznało za pożyteczne tworzenie szkół gospodarsko-wiejskich dla kobiet. Będą to szkoły gospodarstwa domowego, mleczarstwa, wyrobu masła, tudzież instytuty, czyli kursy gospodarstwa wiejskiego.

— Roboty przy budowie politechniki kijowskiej prowadzą się szybko. Obecnie pracuje tam 500 ludzi, dzięki czemu budynek pawilonu chemicznego będzie gotów jeszcze w roku bieżącym. Dotychczasowe pomieszczenie politechniki w budynku szkoły handlowej również skończone będzie wkrótce. Liczba miejsc I kursu wynosi: na wydziale mechanicznym — 100, chemicznym — 60, inżenierskim — 90 gospodarczym — 80 czyli ogółem 300. Próśb podano przeszło 500. Lekcye rozpoczną się 13 września, skład osobisty profesorów przedstawiono do zatwierdzenia władzy wyższej, etaty zaś zatwierdzono już dnia 20 czerwca. Wpis studentów kosztować będzie 100 rub. rocznie.

Koleje i komunikacye. Na stanowiska zawiadowców stacyj mianowani będą nadal wykwalifikowani telegrafiści, którzy ukończyli najmniej cztery klasy lub posiadają świadectwa szkolne, dające prawo przy odbywaniu powinności wojskowej do ulg II stopnia.

— Przy warsztatach wagonowych na przystanku Żbików kolei Wiedeńskiej otwarto ambulatoryum z apteką podręczną pod nadzorem stałego felczera i kierunkiem lekarza.

— Rozpoczęto studya nad wytknięciem linii kolejowej z Kutna do Płocka.

— Pociągi bezpośrednie z Moskwy do Tomska odchodzą obecnie co sobota, z Tomska — co niedziela.

— Rozpoczęto studya nad projektem kolei od Parczewa w gub. Siedleckiej do Kobrynia w gub. Grodzieńskiej. Zbudowana będzie w ciągu następującego trzylecia na rachunek sumy 10 milionów rubli, przeznaczonych w budżecie państwa na budowę

w roku 1899 kolei podjazdowych i drugorzędnych. Linia ta będzie miała tylko znaczenie strategiczne, gdyż na przestrzeni 120 wiorst napotyka jedno tylko miasto Włodawę, posiadającą od lat 10 komunikacyę kolejową w stronę Brześcia Litewskiego i Chełma. Nowa kolej skrzyżuje się we Włodawie z koleją Chełmsko-Brzeską, z linią zaś kolei Połudaiowo-Zachodnich a odnogą brzesko-kijowską — pomiędzy stacyami Maloryto i Zabołocie, mniej więcej w odległości 40 wiorst od Brześcia Litewskiego na południe.

— W początkach lipca zatwierdzono warunki budowy i eksploatacyi kolejek wązkotorowych do Jabłonny i Wawra.

Przemysł i handel. Senat rządzący orzekł, iż akta kupna-sprzedaży gruntów, nabytych przez gromady włościan za pośrednictwem Banku włościańskiego, są wolne od opłaty stempla i od wszelkich opłat aktowych.

— Ministeryum spraw wewnętrznych zniżyło premia asekuracyi wzajemnej w guberniach: Wołyńskiej, Podolskiej, Wileńskiej, Kowieńskiej i Witebskiej, celem skłonienia włościan do ubezpieczania majątków według normy wyższej niż dotąd, obowiązkowe bowiem, jak się okazało, nie zabezpieczają majątków w dostatecznej mierze od strat ogniowych.

— *Warsz. Dniewn.* donosi, że według zebranych w r. 1896 danych urzędowych, w Królestwie Polskiem jest 449 miast, miasteczek i osad, posiadających prawo propinacyi, mianowicie: w gub. Warszawskiej 54, Kaliskiej 52, Piotrkowskiej 50, Radomskiej 62, Kieleckiej 41, Lubelskiej 60, Siedleckiej 42, Płockiej 29, Łomżyńskiej 30 i Suwalskiej 28.

— Czternastu ziemian z ks. Maciejem Radziwiłłem na czele przystąpiło do utworzenia warszawskiego syndykatu rolnego.

— W Warszawie na Nowym Świecie powstała nowa księgarnia nakładowo-sortymentowa. Właścicielem jej jest p. Jan Fiszer.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою. Варшава 21 Августа 1898 г.

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka, Nr. 8.